

**P**  **S**

**Z**

**M Y**

**antologia**  
**inni**





WOJEWÓDZKA I MIEJSKA  
BIBLIOTEKA PUBLICZNA  
IM. JOSEPHINA CONRADA  
KORZENIOWSKIEGO  
W GDAŃSKU

**P**  **S Z M Y**  
**antologia**  
**inni**

Gdańsk 2018

Tytuł: Inni. Piszmy. Antologia

Wydawca: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

© Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

ISBN: 978-83-89285-11-9

Koordynator projektu: Jan Piasecki-Hlousek

Redakcja: Daniel Odija

Korekta: Przemysław Kaniecki

Projekt graficzny i skład: Alicja Westrych

Gdańsk 2018





*Znowu nam się udało! Po raz drugi w gdańskiej Bibliotece pod Żółwiem odbyły się cykliczne warsztaty literackie PiszMy. Grupa warsztatowa została wybrana w wyniku wcześniejszej selekcji nadesłanych tekstów. Przez cały kwiecień, maj i czerwiec piętnaście osób spotykało się na cotygodniowych zajęciach, z których każde trwało pięć godzin.*

*Miałem wielką przyjemność prowadzić pięć takich spotkań. Pasjonaci literatury i pisania uczestniczyli też dwukrotnie w pięciogodzinnych zajęciach z Przemysławem Kanieckim, który podzielił się z nimi swoją wiedzą redaktorską. On też odpowiada za korektę oraz układ tekstów, zawartych w niniejszej antologii. Dodatkowo „warsztatowcy” wzięli udział w zajęciach pani Katarzyny Dworaczyk z psychologii twórczości oraz mieli spotkanie z wydawcą Michałem Alenowiczem, który przybliżył im prawa rynku wydawniczego. W ciągu trzech miesięcy uczestnicy warsztatów otrzymali dawkę czterdziestu pięciu godzin ćwiczeń i wykładów literackich.*

*Podczas zajęć praktyczno-literackich, których prowadzenie przypadło mi w udziale, razem z grupą warsztatową wykonaliśmy wiele ćwiczeń. Miały one pomóc w odnalezieniu własnego rytmu, sposobu zapisu i zastosowania odpowiedniego języka do zadanego tematu. Jednocześnie pracowaliśmy nad indywidualnymi projektami pisarskimi. Omawialiśmy pomysły na spójny tomik opowiadań czy powieść. Uczyliśmy się konstrukcji krótszych i dłuższych form prozatorskich. Z czujnej obserwacji codzienności, jak i samych*

siebie, próbowaliśmy czerpać tematy, nadające się do literackiego przetworzenia.

Przed wszystkim jednak wzajemnie dopingowaliśmy się do zdyscyplinowanego pisania. Próbowaliśmy obudzić w sobie tę wewnętrzną potrzebę, która miała nas rozpedzić do regularnego zapisywania słów, zdań, opowieści. Do systematycznej pracy na swoich tekstami. Bo talent to nie wszystko. Trzeba wysiedzieć dni, tygodnie, miesiące przed komputerem, nad kartką, notesem. Skreślać, poprawiać, pisać, pisać, pisać...

Dzięki tym spotkaniom mogliśmy też porozmawiać o naszej wspólnej pasji. Skonfrontować swoją wiedzę literacką z innymi, podzielić się książkowymi odkryciami. Nie zawsze przecież jest czas i okazja, by podyskutować o literaturze. A Biblioteka pod Żółwiem jest wymarzonym do tego miejscem.

Podczas warsztatów powstawały opowiadania, które znalazły się w niniejszej antologii. Wspólnie zdecydowaliśmy się na wybór wiodącego tematu. Tytuł „Inni” okazał się bardzo pojemny znaczeniowo. Każdy zrozumiał go i zrealizował na swój oryginalny sposób. Powstało czternaście różnorodnych propozycji. Nie będę ich streszczał czy rozwodził się nad zastosowanymi przez autorów konwencjami, zabiegami stylistycznymi, kategoriami estetycznymi. Lepiej, by czytelnik sam przekonał się o wartości zgromadzonych tu tekstów. Gwarantuję, że nie będzie się nudził.

Życzę ciekawej lektury!

Daniel Odija







KALINA ULINOWICZ

## Pierwsze słowo

Tego lata umierałem i odradzałem się już trzeci raz. Pochowali mnie w ogrodzie pod brzozą, zgodnie z życzeniem. Trzecią śmierć zaliczyłem, spadając z dachu naszego domu, kiedy szukałem wronich gniazd. Spadając, słyszałem swój własny śmiech rozchodzący się w powietrzu pełnym liści miotanych przez wiatr. Po pogrzebie, który odbył się jeszcze przed świtem, ojciec poszedł do pracy, a matka czekała kolejnego zmartwychwstania. Zapiał kogut. Ziemia na mogile wybrzuszyła się, a ja uwolniłem wpiersz rękę, później całą resztę. Złotoróżowy świt ukazał moje nowe ciało, tym razem porośnięte brązowym szczeciniastym futrem. Oczy z trudem przyzwyczajały się do widoku wczesnego słońca. Nie mogłem dojrzeć matki.

– Matko?... – Mój głos mimo woli brzmi chrapliwie i cicho.

– Jestem tutaj, mój mały – odpowiedziała. Zapominam wciąż, że nawet dla niej jestem zaledwie dzieckiem. To, co sobie przypominam... Niepewnie podszedłem do niej, kobiety zwanej przeze mnie – a raczej chcącej za nią uchodzić – matką. Uchodzić zwłaszcza przede mną. Za kilka dni jak zwykle stanę się silny i szybki, i będą się znowu mnie bać.

Wiem, co mówię. To przecież nie pierwsze zaklęcie, rzucone przez tę

kobietę. Kiedy tego lata umierałem trzeci raz, widziałem was, stojących w cieniu drzew, z łukami i srebrnymi strzałami, ze złymi zamiarami, które ziściły się, chociaż nie zdążyliście nawet mrugnąć.

Przynajmniej wtedy tak sądzicie, gdy ja spadam w dół. Sądzicie też, że rozumiecie poprawnie i czynicie dobrze. Czarownica, bo tak nazywacie tę kobietę, stosuje różne metody przy przywoływaniu mnie. Udaje jej się to tylko dlatego, że jakaś inna siła zabiera mi pamięć. Zostaje Imię, które po wypowiedzeniu również mi umyka. Mam tylko świadomość, że ktoś gdzieś na coś czeka, i ja jestem tego częścią. Wiem, że nie jestem tym, kogo oczekiwała matka. I na pewno nie jestem jej mistrzem krwawych łowów.

Ojciec jest dobrym człowiekiem. Codziennie wstaje przed świtem, zaś do późna pracuje u młynarza. Młynarz zginął w pożarze młyna wiele lat temu, jednakże potężna jest sztuka snucia iluzji przez matkę. Wtedy jeszcze wierzę jej słowom. Słowom o wielkiej radości jej męża z pracy, radości z tego życia. Jej mąż jest dobrym człowiekiem. Nauczyła go, jak nie zadawać pytań. Milczy i jest dla mnie ojcem. Nocami krzyczy przez sen. Matka wstaje wtedy i wpuszcza do izby wszystkie cienie. Nie wiem, jak mu pomóc, i patrzę tylko z wnętrza swojego snu, jak cienie te wypełniają dławiącą ciemnością sen jego umysłu i uciszają wszelkie krzyki. Kiedy w końcu o to pytam, matka patrzy na mnie obojętnym wzrokiem. Nie jest zdziwiona. Odpowiada tylko, że nie trzyma go przy sobie siłą. W każdej chwili mógłby odejść, ale jest starym człowiekiem. *Kiedy umrze, wyrzeźbimy wietrzne dzwonki z jego kości, aby przypominały synowi o ojcu.* Matka po chwili posyła mi wyblakły uśmiech bez udziału radości w głębi bezbarwnych oczu. Nie mówię na to nic. Wtedy już tego nie pamiętam. Nie pamiętam też siebie później. Umieram w tym świecie pierwszy raz.

Dom stoi ukryty w mrokach lasu, na trudnej do wypatrzenia przez obcych polanie. Ogród otaczający dom jest pełen ziół, przywiezionych z dalekich podróży przez matkę Czarownicy. Ich liście poszarzałe w świetle dnia,

w nocy fosforyzują fioletowym blaskiem. Nie przyciągają owadów ani ptactwa. Czarownica dba o te zioła, gdyż są pomocne przy ożywianiu bicia zmarłego serca. Nauczyła się tego wiele wieków temu. Ona też zapomina wiele rzeczy. Dzisiaj pozostały jej jedynie te zioła oraz garść zaklęć, również słabnących wraz z pamięcią. Dawniej nazywano ją mądrą. Dziś wiedźmą. Twierdzi, że nie pamięta już niczego o swojej matce. Nie mówi też nigdy, po co jestem ja – Dziecko. Dziecko, gdyż nie zwraca się do mnie po imieniu. Wiem tylko, że mam jakieś imię, i być może tak jak uleciało ono po wypowiedzeniu z mojej pamięci, uleciało również z jej pamięci. *I dla jej własnego dobra nie jest to imię, które powinna chcieć znać.* Słyszę te słowa we własnej głowie, nie wiedząc czemu i czując dziwnie smolisty oraz gorzki w smaku gniew. *Nie wiem dlaczego.*

Pierwszy raz uświadamiam sobie, że nigdzie w tym świecie nie widać czerni. Nikt też nigdy nie mówi w żaden sposób o miłości. Znam skądś to słowo. Tak samo jak czerni.

Biegnę przez las, szukam matki. O tej porze jestem zawsze sam. Matka zwykle powraca wieczorem, po zejściu słońca. Biegnę przez milczący świat, nie zatrzymując się nawet na chwilę. To nie tego lasu się boję. Nie. Lasy światów od zawsze były dla mnie domem.

Wcześniej bywało, że bałem się matki. Wcześniej, czyli wtedy, kiedy jeszcze jej ufałem.

Kiedy matka jeszcze istniała.

– Mamo, dlaczego nie mogę bawić się z innymi dziećmi? – słowa „mamo” i „dziećmi” z trudem przechodzą mi przez gardło. – Nigdy nie pozwalasz chodzić mi do wioski. Tam jest pełno dzieci.

Patrzę na dłonie matki, które gestem tak szybkim, że ledwo dostrzeżalnym dla oka, wrywają chwasty. Kobieta przerywa na chwilę pracę i w zamysleniu pociera brodę.

– Widzisz, mój mały, te dzieci nie są zbyt mądre i lepiej, żebyś się z nimi nie bawił.

– Dla kogo lepiej? – wpatruję się teraz w martwe ciała chwastów.

*Dla nich, maleńki, ale tego ja już ci nie powiem.* Jej myśli delikatnie rozchodzą się w powietrzu.

– Oczywiście, że dla ciebie. Takie dziecko, jak ty, nie może zadawać się z byle kim. Przecież wiesz dobrze, że nie jesteś taki zupełnie zwyczajny.

– To dlatego muszę siedzieć w lesie?

*Tu jesteś bezpieczny,* odpowiedziała mi w myślach. *Gdybyś wyszedł z lasu, zabiliby cię, a tego bym nie chciała. Jeszcze jesteś mi potrzebny, mały demonie, i zrobię wszystko, żebyś był mi posłuszny. Nawet gdybyś miał narodzić się jeszcze raz. W końcu to tylko dziewięć lat z wieczności. W tym świecie i tak się nigdy nic nie zmienia.*

– Posłuchaj, mój mały, kiedy skończysz czternaście lat, zabiorę cię stąd. Przecież obiecałam, a ja nigdy nie kłamię. Czy okłamałam cię kiedykolwiek?

– Nie, mamie – płaczę.

Kobieta uśmiecha się i wiem, że nie widzi moich łez.

– No widzisz. A teraz idź poszukać taty.

Biegnę więc dalej w kierunku młyna wąską, zarośniętą ścieżką, taką, o jakich opowiadam naszym dzieciom, i które istnieją tylko w bajkach. Myślę słowo „bajkach”. Nie potrafię zawrócić do początku myśli. Myślę dalej kolejne słowa zgodnie z rytmem wybijanych kroków na ścieżce. Ścieżka ta niedawno jeszcze musiała być często uczęszczanym przez podróżnych traktem, lecz obecnie uległa zapomnieniu. Podróżni nie byli skorzy do uczęszczania tą drogą. Odstraszały ich powtarzane wielokrotnie z ust do ust straszne historie o kobiecie obdarzonej wyjątkową wiedzą i siłą... Tak opowiadali inni ludzie, którzy tędy podróżowali. Nigdy ich nie spotkałem. Wspomnienia, które tylko same się zmyślały. Źródło wpadające do rzeki, wpadającej do tego samego źródła. Baśń, której ktoś nadał rozpęd i przerodziła się w koszmar. Świadomość nieistnienia żadnych innych sprawia, że przestaję czuć się sprawcą i tracę na mgnienie oka sens mojej pogoni. Jednak biegnę dalej ścieżką i staram się jeszcze przez chwilę pamiętać zwodniczą sieć ze sztucznych wspomnień, gdyż tylko

w ten sposób mogę dotrzeć do tego, który w tej historii jest dla mnie ojcem. Czuję znów łzy.

Biegnę więc leśną ścieżką, ja, dziecko. Przez zieloną ścianę drzew przeblyskują białe ściany młyna, który wznosi się nad niebieską wstążką rzeki. Młyn stoi na pagórku, zdaje się unosić ponad morzem drzew. Im jestem starszy, tym bardziej wydaje mi się, że nie ma młyna, ale jedynie skłębiona mgła o dziwnych kształtach pełznie po ziemi. Jednak kolejny rozbłysk słońca zza chmur rozwiewa niepewność. Znów widać tylko biały przysadzisty budynek o ostro zarysowanych prostokątach okien i drzwi.

Ojciec siedzi na murku okalającym pagórek. Szary, wysuszony człowiek o zapadniętych i pustych oczach, w których nie odbija się nigdy żaden obraz. Patrzę mu w oczy. Przez chwilę znika wrażenie sztucznego bielma. Jego wzrok jest uważny. Nasze spojrzenia odbijają się w sobie. Stary człowiek mówi do mnie swoje pierwsze słowo. Wymawia moje Imię. Nagle zdaję sobie sprawę, że siedzę na murze okalającym pagórek i patrzę wreszcie przytomnie w oczy swojego odbicia w słowie zwanym „rzeka”. Jednak do Ciebie dotarłem. Znów trafia mnie kolejne ze wspomnień, przemykając pośród ciemności niczym pierwsza niezabłakana kometa.

\*

Ostatnim zapamiętanym przeze mnie jaskrawym akcentem naszego świata, najpierw pulsującym życiem dłoni prześwieconej słońcem, później coraz bardziej jaskrawym i bolesnym, przerażającym, był kolor czerwieni, który tak zgęstniał i wypełnił moje płuca krzykiem, że została tylko czerń. Kolejny przeblysk. Nasze dzieci, których nie możemy odnaleźć. Cichy las i martwy świat. Docierają do nas różne wieści. Przekraczam granice światów w poszukiwaniu. Cisza i martwota rozprzestrzenia się, niczym zaraza infekując przestrzeń, zabijając nawet próżnię. W końcu Cię znajduję. Rozpoznaję po migotliwym charakterystycznym splocie myśli, Twego wnętrza. Jednak coś jest nie tak. Dociera do mnie, że Ty, i ja także,

jesteśmy przerażająco starzy. Jesteśmy wieczni. Ja istnieję, gdyż... Ty istniejesz, gdyż jest tak, jak...

Pożarłaś istnienia naszych dzieci. To ja Cię tego nauczyłem.

\*

Teraz czarna trawa rośnie cicho z nasion tatuażu pływających pod skórą. Znaczą rzeczywistość czernią liter, niezostawiających śladów na skórze. Organizm rozprzestrzenia jedynie zawartość żył, nie krew i nie limfę. Nie rozprzestrzenia łez, jednak mimo woli poci się. Czarne rzeki słów, wzdłuż których oraz w poprzek których Myśl i Pamięć – mitologiczne ptactwo o niepewnym istnieniu – wędrują, ukazując się w nagłych momentach olśnienia.

Może to oczy moich dłoni płaczą tuszem. Myśląc o obserwacji, sugerujemy się koncepcją zmysłów. Czy dużo ludzi, patrząc we wnętrze swoich dłoni, spogląda w ich trójkątne oczy? W oczy niczym otwierany czasem judasz do podglądania blasku praświatła. Ażeby nie zwariować, czepiam się czarnych rzek słów zastępujących mi rozpuszczany przy każdym uchyleniu judasza mój własny cień. Trójkątne oczy palców moich dłoni sprawiają, że rozpoznaję symbol swego daru od poprzedniego Boga, pokazany dosłownie, gdyż w moim umyśle nie istnieje samo w sobie pojęcie metafory. Cokolwiek jest we mnie – jest też wszędzie. Jestem, zanim pierwsze jest słowo. Szukacie mych znaczeń na swych niebach, nie próbując nigdy zapytać samych siebie o znaczenie dla was danych wam światów. Nie pierwszy raz zazdroszczę. W mojej historii bowiem już dawno wyblakły znaczenia słów „miłość” i „natchnienie”. Może patrząc na was, czytających słowa tam, gdzie wcale ich nie potrzeba, zamiast odczytujących bezpośrednio to, co jest, mam taką samą nadzieję jak wy na zaistnienie cudu. Często używacie słowa „litość”.

Patrząc teraz na Ciebie z wnętrza mego świata, stojąc na brzegu ciemnego morza pod czarnym słońcem. Wspomnienia naszych dzieci są jak



wspomnienia barw tego słońca, morza i całego tego świata, których już nie ma. Siedzisz obok, na czarnym piasku. Zmusiłem Cię, abyś żywa trwała w swym ostatnim ciele, abyś czuła się prawdziwie bezbronna w obliczu starości bez końca. Martwy wiatr niesie w Twoje uszy radosne śmiechy naszych córek i synów. Wołają do Ciebie ciągle, chociaż to Ty nasze dzieci zabiłaś, *mamo*. Twoje oczy z własnego wyboru zasnuwane są bielmem. Nawet mnie już nie przeraża, że nie jestem od Ciebie przy tym lepszy. Przecież ja to zacząłem. Za późno pojąłem, co znaczy Twoja mowa. Dzieci też posłusznie powrócą, chociaż dobrze je ukryłaś.



URSZULA SIKORA

## Najbardziej Szary Człowiek na Świecie

Spotkałam dzisiaj Najbardziej Szarego Człowieka na Świecie. Poruszał się jak dym, a mówił, jakby usta miał pełne popiołu. Rozmawiając cicho przez telefon, wtopił się w gąbczasty fotel PKP Intercity zaraz obok mnie. Próbowałam się do niego odezwać, ale on zmierzył mnie tylko pogardliwym spojrzeniem, po czym wstał i wysiadł na następnej stacji. Wmieszał się w tłum, zanim zdążyłam pożegnać go wzrokiem.

Uznałam, że potraktował mnie wyjątkowo paskudnie, toteż wspominałam go jeszcze dwie stacje. Zastanawiało mnie, jak ktoś tak młody mógł posiwieć tak szybko. Musiał dużo palić, bo cerę miał poszarzałą i suchą.

Moglibyśmy palić razem.

Wkrótce jednak musiałam dać temu spokój i wysiąść. Z pociągu zeskoczyłam prosto w kałużę, a lodowata woda wgrzyła mi się w stopę. Nieznane miasto przywitało mnie ulewą, a ja zapomniałam parasola. Stojąca nieopodal staruszka, pomarszczona jak rodzynka, obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem. Przystępowała niecierpliwie z nogi na nogę i wpatrywała się w pociąg, z którego wysiadała właśnie jej rodzina, objuczona bagażami i pakunkami. Odeszła do nich, a ja poczułam się

prawie tak samotna jak zwykle. Gdy pociąg odjechał, zgrzytając kołami o tory, zrobiło się przenikliwie cicho. Tylko deszcz szumiał o beton.

Moje buty zupełnie już przemokły, a ja nie miałam pojęcia, gdzie jestem ani, tym bardziej, gdzie powinnam być. Próbując odpalić papierosa wolną ręką w ulewie (bezszykownie), przeszłam kilka wybrukowanych ulic, które wyglądały podobnie. W końcu dowleklam się tak na plac czy rynek, z tych kwadratowych w centrum miasta, na których latem młodzi przesiadują z piwem albo ze straganów sprzedają kwiaty. W jego centrum rósł wielki buk, samotny w strugach wody.

Cały plac był śliski i szary, z jedną tylko otwartą kawiarnią: małą, z żółtym światłem gryzącym w oczy. Nie wiedząc, co począć innego, weszłam.

Stolików w niej było mało, ludzi też. Dwie kobiety w średnim wieku mieszały łyżeczkami w filiżankach i plotkowały. Na mój widok zamilkły na moment, obrzucając mnie spojrzeniami spod uniesionych brwi. Usiadłam przy stoliku najbardziej oddalonym od nich, czując, jak woda kapie ze mnie na podłogę. Podniosłam do oczu menu leżące przede mną. Było polepione odciskami tłustych palców i dżemem.

Kawa w tej niepozornej kawiarni była tania i dobra. Zamówiłam ją od siwiejącego mężczyzny, który przedstawił mi się jako właściciel. Gdy mówił, przeciągał sylaby i gestykulował żywo, z czego każdy wywnioskowałby: Włoch. Nazwał mnie swoją bambiną i dorzucił do kawy croissanta gratis.

Żując rogalika, patrzyłam w gołą ścianę przede mną i zastanawiałam się, co począć. Miasto za oknem zaczynało ciemnieć, a kobiety siedzące przy stoliku obok otuliły się płaszczami i wybiegły w deszcz. Chciało mi się płakać.

– Czy pani dobrze?

Para błyszczących ciemnych oczu, włosy zawinięte do tyłu na brylantynę i guziki koszuli rozchodzące się na brzuchu – nie mogłam go okłamać.

– Niespecjalnie. Zna pan jakieś miejsce, gdzie mogłabym się zatrzymać? Hotel, pensjonat?

Podyktował mi adres, pod którym mieszkała jego dobra znajoma, Małgorzata.

– Ona przyjmie, ona zawsze pomaga – obiecał z uśmiechem. Pożyczył mi też swój parasol. – Wpadnie pani na kawę, to odda.

Podziękowałam mu gorąco i wstałam, zamierzając odejść. Po długiej podróży padałam z nóg, a moje ubranie było już zupełnie przemoczone.

– Pani! A jaki w zasadzie cel tego przyjazdu, dokąd pani zmierza? – zawołał za mną, kiedy przekraczałam próg.

Pomyślałam, że nie wiem, więc powiedziałam:

– Nie wiem.

I wyszłam.

\*

Pani Małgorzata otworzyła mi w kapciach i różowym szlafroku z froty. Najwidoczniej musiała zostać powiadomiona o moim przybyciu, bo nie tylko nie okazała zdziwienia na mój widok, ale od razu zaprosiła na herbatę, która stała już gotowa na stole, razem z eklerami. Pani Małgorzata była kobietą sympatyczną i prostą. Opowiadała mi trochę o mieście i byłym mężu, a mówiła tak ciekawie i zabawnie, że zjadłam jeszcze cztery eklery, chociaż zupełnie rozmiękły. Gorąco namawiała mnie, żebym następnego dnia poszła nad rzekę, chlubę tego miasta. Potem pokazała mi mój pokój, małe pomieszczenie o błękitnych ścianach, i wyszła, życząc mi dobrych snów.

Rozwiesiłam wilgotne ubrania na oparciu krzesła i naga usiadłam na pościeli. Deszcz nie ustawał, okna zaparowały, robiło się coraz bardziej duszno. Patrzyłam przez okno i myślałam o moim mieszkaniu, które ziało ciszą wiele kilometrów stąd. Z oddali wydawało się mi się tak wielkie, a przecież kiedyś ledwo starczało dla dwóch osób.

Moje rozmyślania przerwał gwałtowny ruch na ulicy. Gdy wyteżyłam wzrok, ujrzałam znajomą postać – Najbardziej Szary Człowiek na Świe-

cie przemykał ciemną ulicą, rozchlapując podeszwami kałuże. Nad głową trzymał rozwiniętą gazetę, ale i tak tył jego płaszcz był poczerniały od deszczu.

\*

Nad ranem obudziło mnie ostre słońce, takie co to bez uprzedzenia czerwienią wdziera się gwałtownie pod powieki. Wyrzałam przez okno na miasto, na którym nie było już ani śladu wczorajszej ulewy. Wszystko błyszczało od wiosny, na ulicy uśmiechnięty mężczyzna rozdawał gazety.

Pośpiesznie zjadłam śniadanie i wyszłam, chcąc jak najszybciej obejrzeć miasto. Na zewnątrz słońce raziło w oczy i grzało skórę, a po uliczkach biegały dzieci za czarnym, grubym jamnikiem. Wołały do niego: Albert, zachłystując się przy tym powietrzem i śmiechem. Dziewczynka wyglądająca na najmłodszą w pewnym momencie potknęła się i upadła. Na chwilę zrzędlą jej mina, chyba nawet zastanawiała się, czy by się rozpłakać, ale reszta dzieci odbiegła już dalej. Wstała więc, otrzepała sukienkę i pobiegła za nimi, choć z kolan nadal kapą jej krew.

Z wolna podążyłam za nimi, rozglądając się po fasadach budynków i zerkając w okna. W kilku z nich tkwiły staruszki, które odprowadziły mnie podejrzliwymi spojrzeniami aż do rynku. Włoska kawiarenka była jeszcze zamknięta, ale kilka sklepów spożywczych i sklepik z papierosami zapraszały szyldami i światłem. Weszłam do tego ostatniego i od wychudłego sprzedawcy kupiłam czerwone marlboro. Zapaliłam jednego pod bukiem, który nie wyglądał już tak przygnębiająco – jego liście drżały i śmiały się na wietrze. Okrążyłam jeszcze kilkakrotnie rynek i upewniwszy się, że znam już każdy szyld i latarnię, poszłam dalej.

Szybko zorientowałam się, że całe miasto można obejść w zaledwie pół dnia. Podobne do siebie uliczki zbiegały się i prowadziły od rynku tylko w dwie strony: na dworzec albo nad rzekę. Skręciłam w tę drugą stronę, czując na twarzy zimny podmuch wiatru. Gdy do niej dotarłam, zrozu-

miałam, dlaczego pani Małgorzata tak ją zachwalała. Nurt płynął wartko, a rzeka błyszczała w słońcu, otoczona z jednej strony miastem, a z drugiej lasem. Jej brzegi łączył most o szerokości pary trzymającej się za ręce, a wzdłuż wody stały rzędy ławek, ukryte w cieniu drzew. Usiadłam na jednej z nich i zamknąwszy oczy, wsłuchałam się w szum wody i wiatru.

Wkrótce jednak mój spokój zakłóciła grupka młodzieży z plecakami, przeklinająca gardłowo i puszczająca z głośnika muzykę, która chyba teraz jest modna. Patrzyli na mnie niespokojnie, jak na intruza, i próbowali pod ławką odpalać papierosy, ale jakoś im nie szło. Podeszłam do nich, a oni opuścili szybko głowy i ukryli paczki w kieszeniach kurtek.

– Mogę wam pokazać, jak to się robi. Im szybciej się nauczycie, tym szybciej rzucicie – powiedziałam, chociaż wiedziałam, że to nieprawda.

Po czym na moich marlboro zaprezentowałam im prawidłowe podpalanie i zaciąganie. Oczy młodych pociemniały z zachwytu, największy z nich wciągnął nawet dym, jak należy, udając, że się nie krztusi. Jakaś dziewczyna zaśmiała się i oparła o niego, że niby przez przypadek. Zostałam im moją paczkę, przestrzegając, że palenie przynosi same potworności i że wszystko z głową i z umiarem. Wymamrotali słowa podziękowania, patrząc po sobie niepewnie, i odeszli. Kiedy nikt inny nie patrzył, największy chłopak skinął mi poważnie głową. Za rękę trzymał tę dziewczynę, która roześmiała się wcześniej.

Nie wiem, dlaczego wtedy nauczyłam tych gówniarzy palenia. Czy czułam się aż tak samotna? Albo może tak usilnie potrzebowałam pokazać komuś, że coś jeszcze potrafię, cokolwiek.

Słońce zaczęło już mocno przygrzewać, wróciłam więc do mieszkania, żeby się przebrać. Po drodze zrobiłam małe zakupy i popołudnie spędziłam z miską spaghetti carbonara nad książką.

O zmierzchu wyszłam znowu – chciałam zobaczyć, jak zmienia się miasto, kiedy zapada ciemność. Jednak ku mojemu zdziwieniu ulice były puste i ciche, a na placu tylko jedna para obściskowała się na ławce. Wszystko wyjaśniło się, kiedy zesłam nad rzekę, a jeszcze zanim

tam dotarłam, wiatr przyniósł w moją stronę śmiechy ludzi i muzykę na żywo. Mieszkańcy rozłożyli się na ławkach i konarach drzew, wielu z nich trzymało w dłoniach butelki, niektórzy gitary. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, usiadłam na ławce najbardziej schowanej w cieniu i obserwowałam ich zachwyconymi oczami.

A było na co patrzeć. Z biegiem czasu twarze ludzi robiły się coraz bardziej różowe, a oczy błyszczące. Całe rodziny pokrzykiwały do siebie przez wodę, a pary leżały splecione na kocach, szepcząc do siebie. Nieopodal zauważyłam znaną mi grupkę młodzieży ukrytą za drzewami. Palili papierosy i żartowali, a gdy mnie zauważyli, pomachali żywo. Kiedy im odmachałam, na ławkę obok mnie opadło podbite już nieco małżeństwo: on potężny i łysy, ona drobna i z uśmiechem na wargach, który jednak wyglądał dość głupio. Całowali się trochę, żartowali. W pewnym momencie przeprosił ją na moment i odszedł pomiędzy drzewa. Czekala tam na niego młoda dziewczyna w zbyt krótkiej sukience. Miała pulchne różowe ramiona jak mała jeszcze dziewczynka i wodziła za nim rozanielonym wzorkiem. Kiedy położył na niej ręce, zachichotała. Całował ją, a jego żona siedziała sama na ławce i nuciła jakąś smutną piosenkę. Nie mogłam na to patrzeć. Odeszłam na inną ławkę, gdzie kulila się gruba kobieta i płakała głośno. Z ciekawości i z nudy zapytałam, co się stało.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem, zamrugala kilkakrotnie i jęknęła:

– Zdraaaaaaaaadziiiiiiił mnieeeeeeeeeeeeeee!

Po czym opadła na moje ramię i zaszlochała. Zauważyłam, że między jej kolanami tkwi butelka wódki, więc wypiliśmy z niej kilka łyków.

– Już od roku znikał ciągle... A ja, głupia, wierzyłam, że warsztaty jakies, gotowania czy czegoś. Przecież on do kuchni nie wchodzi! Co ja myślałam, kretynka...

Poklepałam ją po plecach. Wypiliśmy.

– Młode to takie, a głupie... Córka sąsiada, brzydka i chuda zresztą jak wieszak jaki... Co on w małolacie zobaczył, to ja nie wiem... No i dzisiaj wchodzę do sypialni i co? Co?! Gówniara naga przed szafą moje apaszki



przymierza! Jedwabne, z Francji. A od kogo? Od tego skurwiela, kłamcy przebrzydłego, zbrojeńca...

Ktoś obok nas wyrócił się w trawę i zaklął, reszta zabiła mu brawo. Ukłonił się z uśmiechem i odszedł, elegant.

– No ja wiedziałam, że tak będzie, koleżanki mówiły, matka... on dla ciebie za dobry, za przystojny, a ja gruba świnia wtedy byłam... Ale nie posłuchałam i co?! I mam!

Zalała się łzami. Podałam jej butelkę, ale wódka się skoczyła, więc otoczyłam ją ramieniem. Jej ciało było miękkie i mokre od potu.

– Może zapalimy? – zapytałam, odsuwając się.

Powiedziała, że wszystko jej już jedno.

Dmuchałyśmy dymem w chłodne powietrze i jakoś tak zrobiło się nam lepiej. Księżyc świecił jasno, ludzie wokół grali na gitarach i śpiewali o utraconej miłości.

Moja nowa przyjaciółka bezskutecznie usiłowała zdjąć obrączkę z palca, ale utknęła na jej dłoni. Dopiero wspólnymi siłami udało nam się uwolnić jej krótki paluszek, a ona odrzuciła od siebie złote kółko jak najdalej. Zanim zdążyłyśmy zareagować, potoczyło się po piasku i zniknęło w wodzie, a kobieta widząc to, zanosła się śmiechem tak gwałtownym, że aż się przewróciła. Próbowałam ją podnieść, ale zasnęła pijanym i mocnym snem. Jak martwa.

Uznałam, że nic już tu po mnie i wstałam nie bez trudu. Nogi odmawiały mi posłuszeństwa, a świat wirował w oczach. Czepiając się ludzi i drzew, próbowałam odnaleźć ścieżkę prowadzącą do miasta, ale rozmyła się w ciemności. Gdy przepychałam się przez tłum, ludzie przeklinali i powarkiwali. Jakaś staruszka nadepnęła mi na stopę i odeszła, zanosząc się przy tym śmiechem. Potknęłam się i usiadłam na trawie, patrząc na ludzi. Pary schowane za drzewami szarpały swoje ubrania i postękiwały, dwójka dzieci zwinęła się na kocu w przestrachu, kiedy ich matka wymiotowała do rzeki. Obok mnie ktoś obdarty wstrzykiwał w siebie heroinę, śmiejąc się przy tym opętańczo. Patrzyły na to nastolatki

z mieszanką fascynacji i strachu na twarzach, a potem ciągnęły wódkę z jednej butelki „za to miasto”. Bardzo kręciło mi się w głowie. Gwiazdy wydawały się krążyć po niebie z zatrważającą prędkością.

– A tobie co?

W świetle księżycy zobaczyłam eleganckie buty, wyprasowane na kant spodnie i twarz, którą znałam. Najbardziej Szary Człowiek na Świecie stał sobie i patrzył na mnie, po prostu na mnie patrzył.

– No, upiłam się trochę – powiedziałam, a on się zaśmiał.

Wyciągnął do mnie rękę i pomógł wstać. Odnależliśmy jakoś ścieżkę i odeszliśmy w kierunku miasta, nie rozmawiając wcale. W mieście zrobiło się od razu lepiej, jakoś bardziej rześko. Gdy doszliśmy na plac, wskazał ławkę pod bukiem i usiedliśmy.

– Dopóki nie poszłam nad rzekę, myślałam, że to dobre, ciche miasteczko – zagadnęłam cicho.

Spojrzał na mnie szarymi oczami i uniósł brwi.

– Znam ludzi, którzy tu mieszkają. Często siadam na ławce i patrzę na nich, tak jak ty dzisiaj. I wiesz, nie wini ich za to, co robią. Win tych, którzy ich pokrzywdzili na tyle, że są w stanie to zrobić.

Wzruszyłam na to ramionami, bo co innego. Walczyłam sama ze sobą, żeby nie zasnąć na jego ramieniu. Ze zwieszającej się nad naszymi głowami gałęzi zerwał mały listek i położył mi na kolanie.

– To piękne miasto, tylko musisz chcieć je takim zobaczyć – powiedział i wstał. Zaproponował, że odprowadzi mnie do mieszkania.

Po drodze zatrzymywał się co moment i wołał: – Patrz na te śliczne cegły! A jak te koty śmiesznie machają ogonami! A te zbite okna? Fantastyczne!

Przytakiwałam, szukając kluczy w kieszeniach. Gdy doszliśmy do mojej kamienicy, położył mi ręce na ramionach i zapytał:

– A spotkamy się jeszcze?

Skinęłam głową, umówiliśmy się na jutrzejszy wieczór.

– Do zobaczenia – powiedziałam.

Po tej nocy miasto odżyło w zupełnie innym świetle. Rano poszłam na długi spacer i chodziłam po ulicach z podniesioną głową, uśmiechając się do latarni, psów i dzieci. Ciepłe, kwietniowe dni wygoniły ludzi na zewnątrz – spacerowali gromadnie po ulicach i placu, a nad rzeką urządzali pikniki. Drżałam na myśl o moim wieczornym spotkaniu, nie mogąc się go doczekać. Najbardziej Szary Człowiek na Świecie wydawał mi się taki inny, taki ciekawy.

Wieczór był ciepły, niemal parny, czułam się więc zupełnie usprawiedliwiona, ubierając na spotkanie krótką sukienkę. Do kawiarni przyszedłam zbyt wcześnie i pograżyłam się w rozmowie z właścicielem. Chociaż przyjemnie mi się z nim gawędziło, nie mogłam się powstrzymać od nieustannego zerkania na zegar – Najbardziej Szary Człowiek na Świecie się spóźniał.

Spóźniał się na tyle, że przestało to być zabawne. Właściciel zniknął na zapleczu, życząc mi powodzenia, a ja cztery razy przestudiowałam menu od góry do dołu. W końcu, kiedy nauczyłam się już nazw wszystkich włoskich kaw na pamięć, Najbardziej Szary wreszcie przyszedł, bez cienia skruchy na twarzy i z gazetą pod pachą. – A wybaczyć, zaczytałem się – powiedział na przywitaniu i usiadł przede mną jako sztywno. Potem było już tylko gorzej: irytowało mnie każde jego słowo, każda mina. W rozmowie na dowolny temat wypowiadał się z niezachwianą pewnością, a jednak jego wiedza była nikła, na pokaz. Wydał mi się nagle szalenie pospolity. W dodatku bębnił palcami o stół w taki sposób, że chciałam mu je powyrywać. Pod pretekstem bólu głowy wyszłam stamtąd jak najprędzej.

Przez kilka godzin snułam się po mieście przyciszona, szurając stopami po chodniku i patrząc na ludzi nieufnie spode łba. W każdym mężczyźnie widziałam zbereźnika i kłamcę, a w kobiecie – matkę wymiotującą do rzeki albo naiwną pijaną. Prześladowały mnie też wspomnienia tego, co wydarzyło się przed wyjazdem: na każdym rogu zdawało mi się, że widzę smutne oczy, wpatrujące się we mnie w milczeniu. Nie mogłam być

teraz sama, poszłam więc tam, gdzie o tak wczesnej porze powinno być albo wybornie, albo potwornie – do baru.

Barów tutaj było sporo, ale wybrałam ten najbliższy rynku. Jego wnętrze było obskurne, ale rekompensowała to dobra muzyka: stare, żywe jazzowe kawałki. Barman, nalewając piwo, kiwał się do dźwięków saksofonu. Kilku pijaczków skinęło mi na przywitanie głową, a ja uśmiechnęłam się do nich sztywno i zamówiłam wódkę z tonikiem.

Ludzi szybko przybywało, barman dzwonił szkłem aż miło, wszyscy śmiali się coraz głośniejszymi głosami. Ja natomiast z tej całej złości kończyłam już czwartą wódkę i czułam, jak czerwienieją mi policzki. Jakiś łysy mężczyzna przysiadł się do mnie i coś tam opowiadał, ale tak monotonicznie, że przeprosiłam go i wyszłam.

Wróciłam do mieszkania o zmierzchu. Już w progu natknęłam się na panią Małgorzatę, która z przerażoną miną ścisnęła w dłoni słuchawkę telefonu – pomyślałam, że musiało stać się coś strasznego.

– Dobrze się czujesz, moje dziecko? – zapytała drżąc, przykładając mi dłoń do czoła. Odsunęłam się, zaskoczona.

– Raczej tak, dlaczego pani pyta?

Pani Małgorzata kilkakrotnie otworzyła i zamknęła usta, jakby zastanawiała się, czy mi odpowiedzieć. W końcu wciągnęła gwałtownie powietrze i wyszeptwała:

– Dzwonił mój znajomy, ten właściciel kawiarni. Podobno dzisiaj siedział tam ponad godzinę i mówiłaś sama do siebie, gestykulowałaś, śmiałaś się... Bardzo się zmartwił o ciebie...

Przez kilka sekund patrzyłam na nią w milczeniu. Pomyślałam, że musiałam znowu się upić albo, być może, pani Małgorzata cierpi na poważną chorobę, której przez roztrzepanie nie zauważyłam wcześniej. Najprzejmiej, jak umiałam, zapewniłam ją o moim wyśmienitym samopoczuciu i odeszłam do swojego pokoju.

Położyłam się do łóżka i zgasiałam światło. Próbowałam przypomnieć sobie twarz i sylwetkę Najbardziej Szarego Człowieka na Świecie, ale nie

mogłam, zupełnie jakby po prostu mi się przyśnił. Za oknem koty zawodziły na ulicy, znowu zerwał się wiatr. Szumiało mi w głowie. Zasnęłam z ręką przyciśniętą do serca.

Następnego dnia na stole zastałam cappuccino w papierowym kubku i croissanty. Wypiłam kawę, rogale schowałam do plecaka. Gdy szłam na peron, kilku mieszkańców pozdrowiło mnie ciepło, a ja odpowiedziałam z uśmiechem. Wsiadłam do pierwszego pociągu, który jechał w kierunku mojego miasta. Gdy pociąg ruszył, wyjrzałam przez okno i zamarłam. Na peronie stał Najbardziej Szary Człowiek na Świecie i patrzył na mnie. Stał tam i po prostu na mnie patrzył.



## Marzenia się spełniają

Zdobione ręcznie sztucce, bąbelki prosecco, tort opływający czekoladą, fura efektownych prezentów i rozpylony w powietrzu zapach sukcesu. To tylko niektóre elementy entourage'u wystawnej imprezy rozwodowej, jaką zorganizowała sobie Anka. Sobie i innym, rzecz jasna. A może innym przede wszystkim. Zresztą co to za różnica? Zaproszenia stylizowane na nekrolog, publiczne niszczenie aktu ślubu, laleczka voodoo z podobizną eks czy konkursy tematyczne typu „Jak podzielić majątek?”. Tak, tak, Anka się bardzo przygotowała. Wszystko było zaplanowane i zrealizowane w najdrobniejszych szczegółach. Ona też wyglądała i zachowywała się nienagannie. Nie jest przecież jakąś nieudacznicą, której nie wyszło małżeństwo – coś, co planowała już od dzieciństwa. Anka odwiedziła przed imprezą drogie spa, a jego bogactwo usług zdecydowanie widać było na jej lekko zaczerwienionej skórze. Makijaż i sukienka również wyszły spod rąk mistrzyń swego fachu. Anka, co tu dużo mówić, błyszczała, choć tak naprawdę głównie błyszczały jej oczy od sporej dawki wciąganej dziś regularnie koki.

– Czy jak wklepię sobie trochę do oczu, to zablokuje łzy? – spytała, histerycznie chichocząc do przyjaciółki i zwijając dychę w rulon.

– Hollywoodzki uśmiech i będzie dobrze, mała! Wracaj do gości – odparła wierna i dobra psiapsiółka, wypychając kobietę do przodu i wbijając kolano w jej prawy pośladek. – No, teraz przynajmniej trzymasz się prosto – dodała czule.

Kobieta wyskoczyła z pokoju niczym dzika kózka z lasu na łąkę. Wyraźnie pobudzona i z rozwianym włosiem. Przypominała trochę dzikuskę z jakiejś kreskówki, ale strój na szczęście osadził ją w oczekiwanych dystygowanych ramach. Mieszkanie wypełniło się wspaniałymi osobistościami. Śmietanka towarzyska miasta. Lekarze, prawnicy, biznesmeni, artyści. Co prawda głównie ludzie typu „z zawodu syn lub córka” albo psychopaci z głową na karku, ale to mało istotny szczegół. Liczą się kontakty. Wszyscy ważni i piękni. Anka znała ich wszystkich. Czasem tylko z dwuminutowej rozmowy na jakimś evencie lub wspólnego wciągania na zapleczu klubu nocnego, ale fakt jest faktem. Miała szerokie znajomości.

– Wyglądasz jak milion dolców – usłyszała zza pleców. Dźwięk aksamitnego, niskiego męskiego głosu byłego faceta aż stanął jej w uszach i poczuła, jak strużka potu spływa po jej idealnym makijażu. No tak, zaprosiła tego gnoja, żeby i on po latach zobaczył przy okazji, co stracił. A co właściwie stracił? Anka zmarszczyła brwi, ale po chwili grymas zniknął, bo przypomniała sobie, że kosmetyczka kazała jej unikać wzmożonej mimiki.

– Wspaniale się dziś prezentujesz. Rozstanie ci służy! – wiwatowali chórem jakby zahipnotyzowani znajomi.

Anka gromadziła w pamięci czułe słówka od przybyłych gości z precyzją dzielnej pszczoły, zbierającej skrupulatnie nektar z kwiatów o poranku. Dlaczego więc czuła ukłucia w tyłek? Nie, to na pewno tylko ta mieszanka alku, przeciwbólowców i śnieżnego pyłu. No, może też skutki uboczne tego nowego zabiegu na cellulit.

Mijały minuty, kwadrans, aż wybiła północ. To ta godzina, kiedy nawet nie ma już Kopciuszka, jest tylko ewentualnie jej zgubiony pantofelek na schodach i zaczynają się wtedy dziać zazwyczaj różne dziwne rze-



czy. Wilkołaki wychodzą z lasu, zwierzęta przemawiają ludzkim głosem, a ludzie prawdziwym, to znaczy wypili już tyle, że nie umieją udawać. „Stan zaburzenia świadomości występujący po wypiciu nadmiernej ilości alkoholu” – ta powszechna definicja, która pojawiła się w głowie Anki, zupełnie nie spotkała się z jej zrozumieniem. „Dopiero «pod wpływem» jesteśmy sobą” – pomyślała z przerażeniem.

– Mam nadzieję, że będziesz jeszcze tak szczęśliwa jak ja z Jackiem – usłyszała z prawej strony, czując jednocześnie lekkie przyduszenie przyjacielskiego uścisku koleżanki z pracy.

– Oj, bidulko, będzie dobrze, zobaczysz! – lewy sierpowy sąsiadki-celebrytki był równie niespodziewany i mało przyjemny.

– Och, jak ja ci współczuję, Aneczko, przecież ty się zbliżasz już do czterdziestki! – westchnęła kolejna dobra duszyczka z pracy.

Goście zajadali się tortem rozwodowym. Sylwetka eks trafiła się Julce z pracy, ale honorowo podzieliła się nią z gospodynią imprezy. Anka przeżuując głowę byłego męża z lukru i krew z żelu truskawkowego, wyobraziła sobie jego gorzki szloch nad nieudanym związkiem i szelmowsko się uśmiechnęła. Niebiańską słodycz biesiadnicy zapijali półwytrawnym pro-secco, żeby potem zagryźć jedną z pysznych przekąsek na słono. Cóż to za idealna impreza – wszystko luksusowe, a i goście tacy śliczni i szczęśliwi!

Anka ochoczo płąsała w rytmie muzyki, aż poczuła na sobie obślizgłe dłonie Jacka. Cwaniak obłapał ją za filarem kuchennym, więc mogła pomyśleć – i pomyślała – że to nie miało miejsca. Nie mogło się przecież wydarzyć! Pewnie zwyczajnie zwariowała. Podczas gdy rozważała swą chorobę psychiczną lub co najmniej jakieś zaburzonko, natknęła się wprost na podłogowe wymiociny sąsiadki-celebrytki. Różami to to nie pachniało. A i postać nie była już tak piękna jak na zdjęciach paparazzi. Czy ona nie wróciła niedawno z odwyku? Rozważania na temat problemów znanej piosenkarki szybko rozwiął widok byłego, hipnotyzującego aksamitem swego głosu kolejną gąskę w kolejce do łazienki. Anka nie wiedziała nawet, kto zacz, ale na pewno nie zapraszała tej obwieszanej

złotem gówniary.

– Nie zaliczyłyśmy jeszcze jednej ważnej zabawy – Kaśka demonstracyjnie wrzuciła swą obrączkę do kieliszka z szampanem. – Można też do kibla – dodała w pijackim bełkocie.

Świeżo upieczona rozwódka wpadła do długo obleganej łazienki i zamknęła się w pomieszczeniu, westchnąwszy z ulgą. Spojrzała w lustro i odkleiła z twarzy piękny amerykański uśmiech, który wcześniej dzielnie ćwiczyła z przyjaciółką. Na toaletce stał bloker emocji w sprayu. Popsikała nim twarz, zwłaszcza oczy, ale już chyba przedawkowała. Nie działał. Łza spłynęła jej po policzku. Nagle usłyszała plusk w ubikacji. Obróciła się i nic. Potem znowu ten sam dźwięk. Podeszła do muszli, a tam patrzyły na nią wielkie oczy złotej rybki, która wesolutko merdała płetwami. „Zwarowałam” – pomyślała Anka. Po chwili namysłu kobieta kucnęła i zbliżyła się do zwierzątka. Próbowwała go dotknąć palcem, ale szybko odpłynęło.

– O co byś poprosiła, gdybyś mogła mieć jedno życzenie? – zapytała poważnie rybka.

– A czy w bajkach nie było tak, że rybka dawała trzy życzenia? – zmarszczyła się Anka.

– W bajkach może i tak, ale ja jestem rybką z kibla i masz jedno życzenie! – odpowiedziała asertywnie.

– Marzę, żeby to wszystko pierdolnęło. Żeby walnął w nas jakiś meteoryt czy coś – zachichotała rozwódka, nie wierząc w siłę swoich słów.

– Bardzo proszę – odparła rybka i zniknęła w kanalizacji.

Chwilę później w Ziemię uderzył meteoryt.



ANNA PIENIAK

## Dziewięć liter

Scena bladego poranka. Mały chłopiec. Zaspana buzia. Małe rączki wyciągnięte w stronę mamy. Radosne gaworzenie, wzywanie uwagi. Macierzyństwo i dzieciństwo – to wczesne, z nieprzespanymi nocami i dużymi niebieskimi oczami wpatrującymi się w ciebie ciekawie. Uśmiechnęłam się. Wzruszyłam się. To nieznanne mi uczucie, a jednak poruszyło mnie – zobaczyłam ciebie po tej drugiej stronie. Jesteś też – być może codziennie, w tej rodzicielskiej scenerii. Kochasz, dbasz, troszczysz się. Podnosisz lizaka, który wypadł z małej rączki. Ocierasz łzy z różowego policzka. Całujesz.

Tulisz. Ochraniasz swoim ojcowskim ciałem. Odganasz niebezpieczeństwa. Bywasz zmęczony i utrapiony, ale nie zamieniłbyś tego na nic innego.

\*

- Jesteś tu?
- A gdzie mam być?
- Pisziesz coś? – pytanie, w które wsłuchiwała się jak w grzmot.

Jak mam pisać. Teraz. Kiedy stały grunt osuwa się spod moich nóg. Kiedy obce twarze wirują przed moimi oczami w dzień i w nocy. Kiedy mała dziecięca głowa przytula się do moich pleców i myślę, że rozpadnę się, jak stoję. Kiedy chwyta mnie za rękę i pyta dziecięco ciekawy, ile mam lat. Bo przecież mnie nie zna. Co z tego, że kartony z moimi ciuchami i sprzętami zastawiają wszystko wokół. Że mój obiad paruje w garnku. On mnie nie zna. Jestem odrębną historią i odrębną kobietą, którą na pewno gardzi. Której zapach go drażni. Która nie ma oczu jak mama. Ani włosów jak ona. Która w ogóle nie jest mamą. Jest przypadkowym, tymczasowym rozwiązaniem zaproponowanym pewnemu mężczyźnie przez pewną kobietę. Jest wargą czerwoną od krwi. Jest marzeniem o powrocie do dzieciństwa z lat, w których przedwcześnie trzeba było dorosnąć i przedwcześnie martwić się sprawami tego świata.

– Śpisz?

– Nie, nie śpię.

Nie wiem, dlaczego udawałam, że śpię.

Może, jak pisał Jacek Podsiadło – „Mimo, że mamy wstać rano do pracy, zamiast spać wspominamy niezwykle zdarzenia”<sup>1</sup>?

– Nie zostaniemy ze sobą długo. Nie zostaniemy ze sobą długo, bo za dużo ważą życia, które mielibyśmy pogrzebać. Zapytaj pierwszego lepszego psychologa. Lub psychiatrę. Nie zostaniemy ze sobą długo, bo w głębi duszy się nie lubimy. Bo za chwilę złączą bracia i dochodzić do głosu wszystkie traumy i rany – że matka bardziej kochała starszego brata, że ojciec ci podcinał skrzydła, że pierwsza kobieta powiedziała, że jesteś do niczego w łóżku. Bo tak naprawdę szukamy remedium na własne, nie czyjeś lęki. Czy jesteś ze mną ze strachu przed samotnością? Nie, jasne, że nie. Ale wciąż mrozi cię myśl, że miałbyś piątkowy wieczór spędzać sam. Że musiałbyś znowu, jak wtedy, szukać sobie zajęć i szczerze zapełniać czas, żeby tylko macki samotności cię nie dosięgły.

---

1 Jacek Podsiadło, *Mimo, że mamy wstać rano do pracy, zamiast spać wspominamy niezwykle zdarzenia*, w zbiorze *Być może należało mówić*, wyd. Biuro Literackie, 2014.

Zasnęliśmy. Oboje głodni z pożądania i myśli, których nie wypowiedzieliśmy.

\*

W pokoju obok nabrzmiewała muzyka. Gitara, której dźwięk rozmontowywał serce na wiele kawałków. Obserwowałam moją matkę stojącą twarzą do okna i starającą się ukryć, że ta sama muzyka, która mnie rozdrabnia na atomy, jej nie rusza ani trochę. Zawsze miałam jej za złe nazywanie uczuć nie tymi słowami, którymi powinna. Przeinaczanie własnych dobrych i złych emocji w coś zupełnie neutralnego i przeźroczyściego. Kłamstwo na samym sobie bolało mnie po stokroć bardziej niż to rzucone na barki innych ludzi. Więc nieomal szlochałam razem z szarpanymi strunami, a ona biła się z własnymi myślami, jak najłatwiej się uprzezroczyścić. Z tym samym wysiłkiem wypisanym na twarzy wychodziła, kiedy mój ojciec, a jej mąż wkładał kwiaty do wazonu po trzydniowej nieobecności w domu. Pomyślałam o wszystkich krzywdach wyrządzanych dzieciom przez dorosłych. Nie, nie tych cielesnych. O wszystkich rodzinach rozłożonych w kalendarzu po równo – na mamę i tatę. O wszystkich weekendach, które smakują jak wakacje. ON KOGOŚ MA. Trzy słowa.

Cztery sylaby. Dziewięć liter. Dziewięć liter, które w tej konfiguracji wypalają ludzkie umysły.

Lokują ślubne obrączki w ciemnych szufladach. Rozczłonkują dziecięce dusze, na zawsze zaszczepiając w nich rozwodową ranę. Jaka mądrość byłaby w stanie nas uchronić przed tym złem? Przed małymi rączkami kurczowo trzymającymi siedzenie w samochodzie, kiedy dorośli robią rzeczy ostateczne i ostatnie? Kiedy ktoś podpisuje się pod wyrokiem prawnie kompletnym i niedającym szansy na protest. Sąd arodziny. Przez długi czas przyglądałam się temu z daleka, myśląc, że można się z tego wyleczyć. Nie można. Nie pomagały też tłumaczenia, że przecież to normalne i powszechne, że takie mamy czasy. Rozluźniają się więzi mię-

dzyludzkie. Degradacji ulegają wspólnoty wartości. Szczególnie to mnie nie obchodziło, kiedy patrzyłam na fotografię Szymka w wieku dziewięciu lat. Spoglądał z niej w moją stronę drobny chłopiec z bardzo długimi rękami i nogami.

Nadmiernie szczupły, z twarzą zdominowaną wielkimi, wystraszonymi oczami. Być może nie były wystraszone, ale jedynie zmęczone płaczem w nocy i rankiem, który przyszedł zbyt szybko. Chowałam to zdjęcie pośpiesznie między kartki książki, kiedy wchodził do mojego pokoju. Nie ponaglałam go, kiedy mówił z trudem, co mu się przyśniło.

\*

Jak to odkryłam i jak na to wpadłam?

On wcale nie miał ochoty wracać do domu. Nie wiem skąd, ale wiedziałam to. Widziałam to wewnętrznym okiem. Wprawiał się w ruch, który nie był w jego przypadku niczym nagłym ani niespodziewanym, ale był to ruch zupełnie inny – wyczekany, niecierpliwy, trapiący. Ruch toczący jego ciało i duszę jak robak. Ukrywany, utajony, strzeżony. Wplątywany w przypadkowe spotkania i samotne wyjścia do kina, bo przecież lubimy różne filmy. Zmarkotnienie nawet nad ulubioną książką i opowieści urywane w pół zdania – aby nie zdradzały faktycznej obecności kogoś jeszcze. Zostawiał po sobie tylko światło. Szare i niewyraźne, jak w jesiennym krajobrazie – zniknął, blaknął.

A potem po prostu znajdujesz zdjęcie, na którym nie ma twojej twarzy. Jest jakaś inna, ładna twarz. Jakaś kobieta. I nikt nie odprowadza cię do drzwi.

Wstałam od stołu i powiedziałam, że zwracam mu, słusznie wywalczoną, wolność.

\*

Rozstania zdarzają się nam wtedy, kiedy myśląc o jedności, udajemy radość:

byłeś kiedyś światłem  
dzbankiem pełnym herbaty  
kwiatami w garści  
byłeś lipcem  
musiałam wiedzieć, że kiedyś się skończysz  
musiałam to wiedzieć

\*

Dziś rano spakowałam walizki. Trudno powiedzieć, ile lat i ile różnych wersji nas się w nich mieści. Weszliśmy tu jak do hotelowego pokoju, ostrożnie stawiając kroki. Zabrakło nam czasu i serc, żeby uczynić je domem. Dni i tygodnie dzielone przez tęsknotę bez początku i bez końca. Usilne pragnienie przywrócenia raz podciętych korzeni. Podświadomy lęk przed tułaczką. Samotność jest groźna – samotność domu, do którego przyfruwasz na chwilę, jest dojmująca i gorzka jak piołun. Wracamy nie tam, gdzie spodziewalibyśmy się być. Nie tam, gdzie kiedykolwiek byliśmy naprawdę.

Kiedy się odwrócił, pomyślałam, że na pewno odwrócił się z ciężaru i przykrości. Wydał się cały pomniejszony. Przyglądałam mu się jak halucynacji. Przypadkowo przeczytałam ostatnio zdanie, że wszystko, co widzimy, jest halucynacją, a my po prostu w nią wierzymy jak w rzeczywistość.

Wystarczy więc uwierzyć także i w tę historię?





AGNIESZKA OWSICKA

## Pamięć zapachu

Przez wąskie okna piwnicy wpadały ostre promienie zachodzącego słońca. Kurz poruszał się po niewidocznym labiryncie nieodkrytych jeszcze trajektorii. Drobną szatynką zaburzała wszędobylską ciszę, okładając pięściami nową perspektywę poznania. Okazało się, że codzienność to wszystko z wyjątkiem prawdy. Nie mogła przekłąć wężu, w którym świat swój zamykała. Codziennie mierzyć się będzie z prawdą w zapachu zaklętą.

Zacięty wyraz twarzy. Pięści na wysokości brody. Łokcie blisko ciała. Klatka piersiowa lekko pochylona do przodu. Nogi rozstawione na szerokość bioder, nieznacznie ugięte w kolanach. Osaczała go. Przybliżała się powoli, żeby nagle odskoczyć. Przez cały czas kontrolowała dystans, tak by być poza jego zasięgiem. Dосkok, unik i lewy prosty. Pot lał się po plecach.

Atak i cofnięcie. Szybka kontra i odskok. Tylko na ułamek sekundy dotykała podłoga. Jakby tańczyła w powietrzu. Każdy kolejny ruch wynikał z poprzedniego. Płynne i doskonale przemyślane przejścia. Nie zdarzyło

się, żeby powtórzyła się sekwencja ciosów czy kroków. Tu nie mogło być przypadku.

Kolejne starcie. Wyprowadziła serię krótkich uderzeń. Po czym podniosła gardę, zwinnie się wycofując. Dwa długie kroki w przód i ponownie stała przy nim. Nisko ugięła nogi. Mocne uderzenie z biodra. Tym hakiem każdemu zmiażdżyłaby żebra. Złożyła się i już jej nie było.

Wystarczy na dzisiaj. Zatrzymała się i oparła głowę na sponiewieranym worku. Wdech, wydech, wdech, wydech. Nie czuła już ucisku w mostku, który narastał w niej od tygodni. Żal, złość i ten cholernie gorzki posmak zniknęły. Musiała to przełknąć, przetrwać i wywalić.

Ściągnęła rękawice i wzięła łyk wody. W szatni zdjęła ubranie. Odkręciła prysznic i czekała, aż przestanie płynąć zimna woda. Patrzyła na swoje znikające odbicie w lustrze. Para nieśpiesznie unosiła się wokół, oblekając wszystko wilgocią. W końcu weszła pod gorący strumień. Trzymała dłonie przy piersiach. Odchyliła lekko głowę do tyłu. Woda rozczesywała włosy i spływała miękko na plecy. Mogła tak stać godzinami. Dla niej tu zatrzymywało się wytchnienie.

Namydliła ciało i włosy. Powietrze coraz bardziej gęstniało, nasiąkając wonnym olejkiem lawendy. Nagle straciła oddech. Granica tolerancji na zapachy właśnie została przekroczona. Jak oparzona wyskoczyła spod prysznica. Przyparła do okna. Dusila się. Wciągnęła łapczywie w płuca świeże powietrze. Chłód wpadł do środka. Gęsia skórka pokryła ciało. Stała tak, wentylując się i czekając, aż w pełni wróci jej świadomość. Lawenda w końcu się ulotniła. Chwyciła mydło i ze złością wyrzuciła do kosza.

To mało powiedziane, że od pewnego czasu intensywne zapachy ją drażniły. Starła się nad tym panować, ale nadal zdarzały się sytuacje jak ta. Nienawidziła tego stanu bezbronności i dziwacznych wizji odbijających się echem w jej głowie. Ludzie zaczynali dziwnie na nią patrzeć. Krąg znajomych malał.

Zakręciła prysznic. Owinęła ręcznikiem włosy i spojrzała na zegarek.

– Cholera!

Dochodziła 19.00, a miała odebrać Felę od brata najpóźniej o 19.15.

Szybko osuszyła ciało ręcznikiem, narzuciła na siebie to, co znalazła pod ręką. Resztę rzeczy pospiesznie spakowała do torby. Wybiegła z sali i zamknęła drzwi na klucz.

Wrzuciła torbę do bagażnika swojego czarnego mustanga z 1967 i ruszyła z piskiem opon. Dochodziła 19.30, kiedy dojeżdżała na miejsce.

– Szlag! Znowu się nasłucham, że nie można na mnie liczyć.

Słońce już zaszło. W środku tygodnia Wrzeszcz o tej porze był zupełnie opustoszały. Z okien loftów na Wajdeloty błyskały niebieskie refleksy telewizorów. Był koniec grudnia, minus dwadzieścia stopni Celsjusza. Wkrótce powinien spaść śnieg.

Jak zwykle miejsc parkingowych deficyt. Zablockowała kogoś, stając w poprzek. Najwyżej chwilę poczeka. Przecież zaraz tu wróci. Wyłączyła silnik.

Wbiegła szybko po kamiennych schodach, przeskakując po dwa stopnie. Właśnie chwytiała za klamkę, kiedy minął ją sąsiad. Odór potu i old spice'a dosłownie uderzył ją w nozdrza. Upadła, zgięta w pół. Klęczała przed drzwiami i próbowała złapać oddech. Dłonie oparte o framugę drżały. Obejrzała się za siebie. Patrzyły na nią głęboko zapadnięte oczy sąsiada z czwartego piętra. Poruszał się w zwolnionym tempie. A może to już były jej halucynacje? Zacisnęła powieki.

Pot i perfumy. Piekielna mieszanka. Kręciła gwałtownie głową, by to od siebie odgonić. Ale nagle wszystko jak żywe stanęło jej przed oczami. Jego ręce na jej ciele. Chciał zerwać z niej ubranie. Język wpychał do gardła. Czowała smak wymiocin w jego ustach. I wtedy odepchnęła go od siebie.

– Znowu piłeś! – krzyknęła, tylko że to na pewno nie był jej głos. – Zostaw mnie! Wynoś się!

Mężczyzna chwiejnym krokiem zbliżył się do niej. Nim się zreflektowała, już trzymała w swojej dłoni lampkę nocną. Cisnęła nią z całych sił

w jego kierunku. Szklana lampka rozbiła się na jego głowie. Zatrzymał się, dotknął twarzy. Na palcach miał krew. Pęknięty łuk brwiowy. Podniósł na nią wzrok. Uśmiechnął się parszywie.

Czuła, jak mała robi się w tej chwili. Rosnący lęk zalewał jej umysł.

– Ty zdziro! – wybełkotał.

Rzucił się na nią całą swą bezwładnością. Uderzał, gdzie popadnie. Otwartą dłonią, pięścią. A gdy upadła, kopał nieprzytomną. Samotność, bezbronność i ból. Fizyczny, palący każdą komórkę ciała ból, który rozchodził się w miarę, jak puchła, gdy spadał kolejny cios.

I wtedy, znikąd, pojawił się znajomy głos. Zdecydowanie dobiegał spoza niej.

– Mamusiu, mamusiu!

Fela uklękła przed mamą i głaskała ją po policzku.

Obraz raz rozmazywał się, to znów nabierał ostrości. I dopiero kiedy poczuła zapach ciepłego biszkopta, zobaczyła ją. Czerwona sukienka w białe grochy i dwa długie blond warkoczki zaplecione przez nią dzisiejszego ranka.

– Hej. Wszystko w porządku?

Teraz pochylał się nad nią jej brat i potrząsał za ramię. Siwiał. Jakoś wcześniej jej to umknęło.

Pomógł jej wstać.

– Dziękuję – powiedziała.

Zamknął drzwi i posadził na krześle. I mimo iż siedziała, nogi nadal się pod nią trzęsły.

– Prosiłem cię, żebyś nie pracowała tyle. Ta robota cię wykończy. Zacznie w końcu myśleć nie tylko o sobie!'

Nie ma to jak rodzinna troska. Zarzuty mają odwrócić uwagę. Cały sens kryje się pomiędzy. Gdy zawiesza głos, pewność oskarżeń się łamie i drży w posadach. Kochała go.

– Widziałeś ostatnio sąsiadkę z czwartego piętra spod jedenastki? – głos jej drżał.

Spojrzał na jej bladą twarz zbity z tropu.

– Dobrze się czujesz?

– Mijał mnie na klatce sąsiad. Właśnie ten z czwartego piętra.

– Ten, co jego brat siedzi w pierdlu za rozboje?

– Właśnie ten. Kiedy ostatnio widziałeś jego żonę?

– Nie wiem. Chyba wczoraj. Wracała z zakupami.

– Pamiętasz, co miała na sobie?

– Na pewno wszystko z tobą dobrze?

– Pamiętasz?! – przewróciła oczami, bo zaczynało brakować jej już cierpliwości.

– Chyba džinsy i czarny sweter. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Idziemy! Fela, zostań, proszę, z ciocią. Zaraz z wujkiem wrócimy.

Szarpnęła Darka za koszulę i siłą wyciągnęła go na schody, na czwarte piętro. Stali przed jedenastką.

Jedenastka. Drzwi do prawdy czy pogłębiających się urojeń?

Raz, dwa, trzy – policzyła w myślach i nacisnęła dzwonek.

Cisza.

Zaczęła walić pięścią w drzwi.

Darek chwycił jej dłoń.

– Co ty wyprawiasz? Wytłumaczysz mi, co my w ogóle tutaj robimy?

– Darek, ja go mijałam przed chwilą na klatce. On miał krew na ubraniu.

Musiała skłamać. Przecież nikt normalny nie uwierzyłby jej, gdyby powiedziała prawdę.

Zadziałało. Zaczął walić pięścią razem z nią.

Po chwili usłyszała delikatny ruch. Położyła Darkowi dłoń na ramieniu.

– Poczekaj – szepnęła.

Przyłożyła ucho do drzwi. W tej samej chwili uchyliły się. Darek próbował się przecisnąć, ale coś je blokowało. Naparł na nie ramieniem i powoli zaczął otwierać je coraz szerzej. Przedostał się do środka.

Nie musiała tam wchodzić. Już to czuła. Jej wnętrzności zaprotestowały. Zwymiotowała.

– Jezu Chryste!

Usłyszała drżący głos brata. Wytarła rękawem usta i weszła do mieszkania.

Na podłodze leżała drobnej budowy kobieta. Czarne, długie włosy kleiły się do tego, co powinno być twarzą. Ubranie było przesiąknięte potem i śmierdziało moczem. Brat chodził nerwowo po pokoju i dzwonił po pogotowie.

Uklękła. Ujęła dłoń kobiety w swoją.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptwała.

Pogotowie zabrało kobietę. Policja spisała zeznania.

Darek przytulił mocno Dorę.

– Przepraszam, że w ciebie zwątpiłem – powiedział, zanim przekroczył próg. Jakby nie chciał wnosić tego ciężaru do mieszkania.

– Po to są bracia – odpowiedziała z przekąsem.

– Zostań dzisiaj u nas.

– Małgosia nie będzie miała nic przeciwko?

– To już moje zmartwienie.

Zamknęli za sobą drzwi. Dziewczyny właśnie dekorowały ciasto.

Stała za Felą i mocno ją przytuliła.

– Mamo puszczaj! Przeszkadzasz.

Odsunęła się i oparła o framugę, patrząc na córkę. Tak rzadko miała ostatnio dla niej czas.

W domu było ciepło i przytulnie. Wokół unosił się zapach wyjętego z piekarnika biszkoptu, świeżo ściętych kwiatów i prania. Wciągnęła tę woń głęboko w nozdrza, zapamiętując każdy szczegół.





KORNEL MACHNIKOWSKI

## Kawał o Jasiu

*I byłoby to wszystko śmieszne,  
Gdyby nie było takie smutne.*

Michaił Lermontow, *Do A.O. Smirnowej*

### I

Zabawa w chowanego szybko się skończyła, bo Krystian zaklinował się między śmietnikami. My się napociliśmy, żeby go stamtąd wyciągnąć, a ten bachor tylko się zryczał i uciekł do domu. Zostaliśmy sami – nasza trójka i Jasiu, który stał przy trzepaku i żuł wykałaczkę, bo tamtego dnia bawiliśmy się też w Dziki Zachód.

Straszny był upał. Nasz blok kołysał się w skwarze. Pot narysował Jaśkowi szlaczki na okurzonych policzkach.

Był od nas rok starszy, miał osiem lat, naprawdę twarda sztuka i bardzo pomysłowy typ. Kilka tygodni wcześniej zabrał nas do napuchniętych zwłok psa. Nie dość, że leżały one dużo dalej, niż którykolwiek z nas mógł iść bez wiedzy mamy, to jeszcze później Jasiu pozwolił nam dźgać tego psa patykami. Tylko krzyczał, żebyśmy go nimi nie przebili, bo do oglądania go ma kolejki chętnych.

Wypluł wykałaczkę i powiedział, że czekanie na Krystiana nie ma sensu i mamy iść za nim, jeżeli chcemy zobaczyć coś naprawdę ekstra.

Zżerała nas ciekawość. Dreptaliśmy za nim jak kaczki, a on nie zwracał na nas uwagi i bujał się mocno, stawiając szybkie kroki. Każdy z nas dostałby od jakiegoś starszaka w łeb, jakby chodził w ten sposób. Marzyło

się nam, żeby kiedyś iść i tak obszernie zamiatać rękami! A Jasiek mógł, i to jakby od niechcienia!

Za blokiem i kilkoma garażami stał rząd murowanych chlewików. Miały obdarte drzwi i pachniało w nich spoconym człowiekiem. Praktycznie codziennie przy którymś z nich siadało kilku starszych panów i rozmawiało głośno, aż jeden z nich zasnął albo zwymiotował. Ale tamtego dnia nikogo nie było.

Jasiek podszedł do najbrzydszych drzwi i wyjął klucze z kieszeni. Twarze nam zzieleniały z zazdrości i dopasowały się do spodni brudnych od trawy.

Zapytał, czy wiemy, co jest za drzwiami. Synchronicznie pokręciliśmy głowami, a on oznajmił, że to jest jego tajny klub i baza.

Zaprosił nas do środka.

W pomieszczeniu ktoś zamurował jedyne okno, wszystko było brudne od węgla i zaschniętego błota. Przy ścianie stała niebieska motorynka z kilkoma naklejkami z chipsów na baku. Na gwoździach ktoś uwiesił kawałki węża strażackiego, zepsuta skakankę i kask orzeszek. W jednym kącie leżała sterta opon, z których wychodziły druty i zwinięty dywan pachnący jak podłoga przy muszli klozetowej.

Ale najciekawszy był drugi kąt chlewika, bo była stamtąd ciemność. Duża dziura w podłodze prowadziła chyba prosto do piekielka jakiejś piwnicy. To tam musiał być klub.

Jasiek był wysoki i patrzył na nas z góry. Bardzo był z siebie zadowolony. Tak się prężył, że aż pępek mu spod koszulki wychodził.

Podszedł do dziury i po prostu do niej wskoczył. Zamarliśmy, ale Jasiek uwiesił się na jakiejś linie albo drabince. Kołysał się wesoło, do pasa zanurzony w gęstej czerni, i mówił:

– To klub tajny, nie dla wszystkich, rozumiecie? Musicie obiecać, że nikomu nie powiecie, bo jak nie, to po ryjach dam!

Zgodziliśmy się, cali rozedrgani, bardzo chcieliśmy tam wejść. Kazał nam jeszcze powtórzyć jakąś przysięgę, to szybko ją wymamrotaliśmy

i już, już byliśmy na dole!

Było tam świetnie, bo ciemno, wilgotno i niesamowicie. Ktoś ogniem powypalał na ścianach przekleństwa, na stercie węgla leżał koc, a dookoła mnóstwo petów. Jaś podniósł jednego i podpalił.

– Widzicie? Tutaj jest tytoń jeszcze, na serio, bo ktoś nie dopalił. Jak zarobicie punkty albo odznaki, to was nauczę palić!

Chodził po bazie w kółko i śmiał się jak panowie w serialu babci. Chcieliśmy już zdobywać te odznaki i punkty, żeby Jasiak zaczął wszystkiego nas uczyć, a na myśl o niedopałkach ślina zebrała nam się w siedmioletnich ustach.

Następnego dnia na niebie było dużo chmur, a przy chlewikach dużo tych panów, co to rozmawiają, śpią i wymiotują. Był tam też tata Jasia. Wrócili na swój posterunek i kiedy my chcieliśmy zaszyć się w bazie, nakrzyczeli na nas i grozili pięściami. Nigdy nie wróciliśmy do tego chlewika.

## II

Lekcja polskiego szybko się skończyła, bo Kryszakowa jak zwykle pędziła z materiałem. My się mordowaliśmy, żeby za nią nadążyć, a ta siekiera tylko wytrajkotała wszystko, co jej zdaniem koniecznie musimy wiedzieć o *Latarniku*, i wyszła. Zostaliśmy sami – nasza klasa i Jasiak, który już kiblował i zboczył z trasy.

Na zewnątrz było ciepło, a szkolne korytarze wypełniał zapach tenisówek za dwadzieścia złotych i kanapek z serem, które uleżały się w plecakach. W tej mdłej zawieszynie odznaczała się ostra woń, która biła od Jaśka – nazywaliśmy to smrodem-zarazą.

Był od nas starszy, miał piętnaście lat, a przypominał już dziada spod sklepu. Jego krzywy uśmiech przysłańiał pustkę w łysej głacy. Kilka tygodni wcześniej chłopakom zebrało się na wygłupy. Nie dość, że zabrali Jaśkowi plecak, to jeszcze zaczęli udawać, że chcą go zdetonować, bo w ich

zabawie to była broń biologiczna. Kiedy Jasiek to zobaczył, zaczął wykrzykiwać, żeby spierdalali, bo zaraz im zęby powybijają. W końcu faktycznie dorwał Krystiana i bił go długo, a przy tym płakał tak żałośnie, że łzy wyorały na jego usyfionej twarzy słone bruzdy.

Krystian wypluł swojego ostatniego mleczaka na podłogę, a Jasiek pociągnął nosem i poszedł do kibla.

Zżerała nas złość. Byliśmy bezsilni jak muchy w szklance soku, a on nas rozstawiał po kątach i bujał się mocno, stawiając szybkie kroki. Każdy z nas dostałby od jakiegoś patola z bara, jakby chodził w ten sposób. Dorośli uczyli nas, żebyśmy nigdy tak obszernie i prostacko nie zamiatali rękami! A Jasiek mógł, bo to beczelny typ.

Za szkołą stał rząd blaszanych garaży, miały wypucowane wrota, ale dookoła pachniało fajkami i moczem. Praktycznie codziennie przy którymś z nich siadał Jasiek z ekipą i palili papierosy. A kiedy przyłapała ich jakaś nauczycielka, pokazywali jej środkowe palce. Widzieliśmy to kiedyś przez okno.

Po przerwie zaczęła się geografia. Jasiek jak zwykle usiadł w ostatniej ławce. Była kartkówka, a on zzieleniał ze złości, bo nic nie umiał.

Zapytał Aneczki, która siedziała przed nim, czy wie, co napisać na pierwsze pytanie. Energicznie pokręciła głową, a Jasiek tylko wytknął jej język.

Oddał pustą kartkę.

W klasie było gwarno, nauczycielka nie umiała nas uciszyć. Przy tablicy stała zawsze jak plastikowy ludzki szkielet i sztywno machała wskaźnikiem przy mapie. Opowiadała nam cicho o tym, jak przez miliony lat kształtowała się Ziemia. Od czasu do czasu robiła przerwę na łyk kawy, a czasami coś strzelało jej do głowy i zaczynała podlewać kwiaty w donicach ustawione za jej biurkiem. Geografii nikt nie lubił.

Najciekawsza tamtego dnia okazała się końcówka lekcji, bo była naprawdę mroczna.

Duża dziura w blacie ostatniej ławki istniała chyba od zawsze. Często

na przerwach wkładaliśmy do niej linijkę i robiliśmy wyrzutnię, z której strzelaliśmy kawałkami pociętej gumki. Ale w czasie tamtej geografii nagle usłyszeliśmy jakiś cichy trzask, a później głośny ryk.

Nauczycielka była przerażona i tylko patrzyła z góry na Jaśka, tarzającego się po ławce z połamanym palcem nadal wetkniętym w dziurę w blacie ławki. Tak się prężył, że aż pępek mu spod koszulki wychodził. Miał ją po siostrze.

Przyjechała karetka, zabrali Jaśka i tyle. Patrzyliśmy na to wszystko z rozdziawionymi ustami, aż w końcu nauczycielka odezwała się:

– Janek zrobił straszną głupotę, rozumiecie? Obiecacie, że będziecie mu pomagać, bo on musi się w szkole poczuć jak w domu.

Zgodziliśmy się, cali rozedrgani, ale kiedy Jasiak wrócił do szkoły, to nadal go nie lubiliśmy, no bo jak? Krystian powtarzał ciągle to, co usłyszał w domu od taty:

– Ten kretyn złamał sobie palec, żeby odszkodowanie dostać!

Ale Jasiak nie zwracał na nas uwagi. Chodził w kółko po korytarzach i śmiał się jak bohaterowie tanich komedii. Chcieliśmy wszyscy wiedzieć, co się stało w szpitalu, że on taki wesoły, weselszy od nas nawet. A on niczego nie opowiadał. Tylko piszczał przy każdym kroku wypucowanymi białymi adidasami.

### III

Naukę skończyłem późno, bo Krystian zapomniał przesłać mi materiały, które obiecał już dawno. Uczę się za dwóch, żeby studia zacząć z przytupem, a ten zamuł tylko mi kłody pod nogi podkłada. Ale wreszcie jestem sam i z czystą głową mogę rozkoszować się ciszą i zimnym piwem.

Wieczór jest ciepły, przez uchylone okno do pokoju wpada świeże powietrze.

Mam osiemnaście lat, matury poszły świetnie, naprawdę twarda ze mnie sztuka i ostatnio ciągle pnę się w górę. Kilka tygodni temu wygra-

łem ogólnopolski konkurs, który zapewnił mi indeks na politechnice. Nie dość, że będę studiował na najlepszej uczelni w kraju, to jeszcze zamieszkam z moją dziewczyną. Aż krzyczała z radości, kiedy się dowiedziała. Ja też się z tego cieszę.

Biorę łyk piwa i dalej szukam filmu odpowiedniego na wieczór. Nagle za oknem zaczynają wyc policyjne syreny. Na zaciągniętych roletach odbijają się niebieskie światła kogutów. Odslaniam je i zaczyna się spektakl.

Zżera to mój czas, ale jestem ciekawski jak młody kot, a za oknem jakiś osiłek ucieka dwóm policjantom i buja się mocno, stawiając szybkie kroki. Każdego złapałoby od razu, jakby chodził w ten sposób. Marzy mi się, żeby zakuli go efektownie i mocnym ruchem rzucili na maskę. A dlaczego nie. Byłoby jak w filmie.

Pod blokiem zebrała się grupka gapiów, którzy w ciszy przyglądają się akcji funkcjonariuszy. Praktycznie codziennie w naszej okolicy dochodzi do mniej lub bardziej interesujących interwencji, w czasie których żule i chuligani wymiotują i pluja krwią. Ale dzisiaj jest wyjątkowo głośno.

Typ się potyka, a policjanci przyciskają go do ziemi. Jeden z nich wyciąga kajdanki i zaciska je na nadgarstkach osiłka. Twarze gapiów nie zdradzają żadnych emocji. Kiedy wreszcie stawiają chłopaka na nogi, ten zaczyna drzeć się jak zarzynana świnia.

Prowadzą go do radiowozu.

Patrę przez okno na naszą ulicę. Wszystko jest brudne i błaga o renowację. Przy śmietniku stoi połamany rower bez kół. Na drzewach ciągle wiszą wyłączone lampki świąteczne, bo przecież nie opłaca się ich bez przerwy ściągać i zakładać.

Ale i tak najciekawsza okazuje się twarz tego zakutego chłopaka, bo bije z niej ciemność. Oczy ma jak duże dziury, prowadzą chyba prosto do piekła. To Jasiek.

Trafił do zakładu poprawczego, zanim skończył gimnazjum. Tak sobie grabił, że wreszcie dostał za swoje. Podobno wybił kiedyś szybę w sklepie monopolowym i po prostu wskoczył do środka. Ze śmierdziela i głupka

stał się kryminalistą. Nikt o nim w mieście nie rozmawiał, bo przecież nie było o czym. Później wyszedł z poprawczaka, ale uczeplił się złodziejskiego stylu życia i chwilę po osiemnastych urodzinach poszedł do pierdła.

Musiał uciec na przepustce czy coś, ale jak każdy półgłówek dał się złapać. Szarpie się teraz i krzyczy:

– Puśćcie mnie, zbiję! Aaaaaaaaaaaaa!

Siłują się z nim, cali rozedrgani, próbują wcisnąć Jaśka do radiowozu. On zapiera się mocno nogami. Każą mu się zamknąć i uspokoić, to nawet mnie śmieszy.

Po jeszcze ciepłym asfalcie niosą się krzyki i sapanie, a jacyś idioci pokazują tę scenę dzieciom przez okna. Ktoś rzuca w stronę policjantów przekleństwa i krzyczy do Jaśka, żeby się trzymał. Jasiak szarpnął się i pociągnął policjantowi z bańki.

– Puśćcie! – wyje. – Aaaaaaa! Biją! Biją! Cha-wu-de-pe!

Rechocze i ślini się, jakby był postacią z horroru. Chcę, żeby już go wywieźli, żeby Jasiak wreszcie się zamknął, na myśl o tej patologii zaschło mi w ustach.

Kolejny dzień jest strasznie pochmurny, a z gazety dowiaduję się o brawurowej ucieczce z zakładu karnego. Zbieg, którego danych nie ujawniono, najpierw oddalił się podczas prac publicznych, a następnie ukrył się pod siedzeniami pociągu relacji Kraków Główny – Gdynia Główna. Autostopem dotarł do rodzinnej miejscowości, ale na szczęście jest już w rękach policji.

Moja mama twierdzi, że Jasiak uciekł z więzienia, bo rodziła mu się córka, ale kto go tam wie.





## To dobry sen

– Możesz zabrać dzieci do siebie. Tymczasowo, Marcus, rozumiemy się?

– Nie jestem głuchy.

Jana dygotała, wczepiona kurczowo w brata.

– Boję się... boję się... – powtarzała zdyszonym szeptem.

Chłopiec objął ją.

– Nie pozwolę nikomu cię tknąć – powtarzał bezradnie, a kiedy ucichła, podniósł głowę. Z poblądłej twarzy patrzyły oczy starego człowieka.

– Nie możecie nami handlować jak zwierzętami.

– Nie kupiłem was – odparł spokojnie Marcus. – Jestem waszym opiekunem.

– Opiekunem... – powtórzył gorzko chłopiec. – Mieliśmy wielu takich opiekunów, a każdy następny był gorszy od poprzedniego. Nie potrzebujemy żadnych opiekunów. Niczego od was nie potrzebujemy. Chcemy stąd odejść!

– Dokąd?

– Wszystko jedno. Zostawcie nas... zostawcie nas w spokoju!

Marcus przygotowany był na wściekłą awanturę, toteż zdziwił się, kiedy wpuścił Jarela do jego pokoju. Chłopiec milczał jak głaz, czujny na każdy

gest. Stał nieporuszony, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i zaciśniętymi pięściami. Twarz miał napiętą i poszarzałą, w oczach rezygnację. Czekał.

Marcus poruszył się, a chłopiec drgnął i rękami zasłonił głowę. Dopiero wtedy zrozumiał.

– Jarel, opuść ręce. Nie będę cię bił.

– Nie każ Janie na to patrzeć.

Chwycił go za ramiona i szarpnięciem poderwał do góry.

– Za kogo ty mnie uważasz, smarkaczu?... – urwał, widząc oczy pełne lęku. Opanował się w jednej chwili, ostrożnie postawił chłopca na podłodze. – Jarel, nie będę cię bił. Nigdy, rozumiesz? Tu jesteście bezpieczni, ty i to biedne chucherko. Już nigdy więcej nikt nie będzie się nad wami znęcał. Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale postaraj się. Nie musisz mnie lubić, ale przynajmniej nie okazuj nienawiści na każdym kroku. Zrób to dla swojej siostry. To jest wasz pokój, wszystko, co tu widzisz, należy do was. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, wystarczy poprosić. Postaram się trzymać z daleka, aż Jana przyzwyczai się do mnie.

Okazało się to jednak trudniejsze, niż sądził. Przeniesienie do nowego domu było dla Jany kroplą przepełniająca czarę. Nocami budził go jej krzyk, Dona wstawiała i bezszelestnie znikwała w sąsiednim pokoju. Leżąc z otwartymi oczami, długo słyszał kojący szept żony i zduszony, żaloszny szloch.

\*

Tacę ze śniadaniem przyniosła Dona. Zapukała, ale ze środka nie dobiegł żaden dźwięk. Zapukała jeszcze raz.

– Jarel, mogę wejść?

Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Odsunęła się, a chłopiec rozejrzał się podejrzliwie, potem jego wzrok zatrzymał się na tacy. Przełknął ślinę. Wiedziała, że jest głodny, ale upór nie pozwalał mu przyjąć

jedzenia. W końcu jednak wziął tacę.

– Biorę to dla Jany – mruknął i zamknął drzwi.

Dziewczynka siedziała na podłodze, tuż przy kominku. Bez słowa podniosła na brata puste oczy, odruchowo kuląc wychudzone ramiona.

Jarel bał się, tylko skrzętnie to ukrywał. Dawniej wiedział, czego może się spodziewać. Umiał rozpoznać, kiedy na twarzach ich opiekunów pojawiał się gniew, nauczył się posłusznie wypełniać polecenia i unikać razów. Tu czuł się zagubiony. Niepokoiło go to, że nie mieli żadnych obowiązków, że niczego od nich nie wymagano. Że mieszkali w czystym, jasnym pokoju, że pozwolono im kąpać się w ciepłej wodzie i zasypiać w ciepłym łóżku, że dostawali obfite posiłki.

Życie nauczyło go jednego – niczego nie dostaje się za darmo. Za wszystko trzeba kiedyś zapłacić, i to z nawiązką. Świat, w którym nikt go nie bił, nie głodził, był obcy i przerażający.

Ogarnęła go przemożna chęć ucieczki i pewnie spróbowałby już pierwszej nocy, gdyby nie Jana. Dobrze wiedział, że zrobi to z nią albo wcale. Przez wzgląd na Janę chciał sprawić, żeby ten nowy świat choć trochę upodobił się do starego. To dlatego pierwszego dnia spali na podłodze, to dlatego nie wzięli z łóżka nawet koca. Zasnęli dopiero wtedy, gdy ciasno przytulili się do siebie. Byli wówczas tylko oni, strach został gdzieś daleko i nie mógł ich dosięgnąć.

Ale wrócił rano. Ten cały Marcus poprosił o zgodę na zabranie ich i otrzymał ją. Znow byli zdani na łaskę i niełaskę. Jak zawsze. Znow będzie patrzył na strach siostry, znow będzie słyszał jej krzyk. Jak długo jeszcze ona wytrzyma? Jak długo uda mu się ją chronić?

Zacisnął zęby i zamknął oczy. Co się z nim stanie, kiedy jej zabraknie? Kiedy któregoś dnia zaśnie i więcej nie otworzy oczu? Ogarnęło go dojmujące zimno. Jana była jedyną istotą na świecie, którą kochał. To dzięki niej nigdy się nie poddał. Co mu zostanie, kiedy ona odejdzie?

Zabierze ją stąd. Gdzieś, gdzie nie ma nikogo, gdzie będą bezpieczni. Teraz jednak musiał zająć się ważniejszą sprawą. Przysiadł na piętach

i delikatnie pogłaskał ją po ramieniu. Wsunął jej w ręce kubek z ciepłym mlekiem.

- Wypij. Proszę, wypij chociaż trochę.
- Nie mogę – szepnęła.
- Możesz. Zrób to dla mnie.

\*

– Z drogi! – Sonia wepchała się do pokoju. Rzuciła swoje brzemię na łóżko i odwróciła się do brata. – Co się gapisz? Żałujesz tych paru ciuchów?

– Nie, ale nie wiem, dlaczego mam się dzielić z nim ubraniami.

– Bo ty masz się w co ubrać, a on nie. Nie bądź chciwy, tata kupi ci nowe. Jestem Sonia, a ten ponurak to mój brat, Peter – powiedziała do Jarela. – Chyba nie chcesz patrzeć, jak twoja siostra się przebiera? Idź gdzieś i zrzuć te śmierdzące łachy, może zaczniesz przypominać człowieka.

– Nie potrzebujemy niczyjej łaski!

– Nie? – zaśmiała się. – Obejrzyj się w lustrze. I to nie jest żadna łaska, tylko pożyczka. A zresztą, myśl sobie, co chcesz, ty mnie nie obchodzisz. Możesz zgnić w brudzie. Chodź, Jana, wybierzesz sobie coś ładnego.

– Ja nic nie potrzebuję... Dziękuję, ale...

– Jak to nie potrzebujesz? Co ty pleciesz, dziewczyna zawsze potrzebuje sukienek. Im więcej, tym lepiej.

Jana chwyciła Jarela za rękę.

– Nie mogę, bo... bo... muszę do łazienki.

Jarel ścisnął rękę siostry.

– Pójdę z tobą.

– Do kibla? – Sonia parsknęła śmiechem. – I co tam będziesz robił, trzymał ją za uszy?

– Przecież nie wszedłbym do środka – mruknął zły, że się tłumaczy. Odepchnął Sonię.

– Dotknij jej jeszcze raz, a popamiętasz mnie do końca życia! – wyszczał Peter.

– Wy tu sobie pogadajcie, a my idziemy, zanim będzie za późno – powiedziała Sonia.

Jana skurczyła się jeszcze bardziej, ale nie śmiała protestować. Bała się, że Jarel znów wybuchnie gniewem i w końcu go ukarzą. Zrezygnowana ruszyła do drzwi.

Chłopcy zostali sami. Żaden nie chciał odezwać się pierwszy, jeden nie spuszczał wzroku z twarzy drugiego.

– Jestem Peter.

Jarel rozluźnił pięści, ale nadal pozostał czujny.

– Podajesz mi rękę?

– A co, chcesz ją odgryźć? Przebieraj się. Bierz, ojciec kupi mi inne.

W końcu Jarel zdjął koszulkę.

– O co chodzi? – zapytał. Peter przyglądał mu się z otwartymi ustami.

– Twoje plecy...

– Jesteś zdziwiony? Pewnie nie będę wyglądał lepiej, kiedy zabierze się za mnie nowy opiekun.

– Ojciec nie będzie cię bił!

Jarel zaśmiał się z goryczą.

– Jeśli trafię do miejsca, gdzie nikt nie będzie mnie bił, to będzie znaczyło, że umarłem i jestem w niebie. Mnie tam wszystko jedno, przywykłem – oświadczył obojętnie, a potem twarz mu pociemniała. – Ale jeśli tknie Janę, zabiję go. Ty tego nie rozumiesz. Nie wiesz, jak to jest, kiedy żyjesz w wiecznym strachu. Kiedy patrzysz komuś w oczy i zastanawiasz się, czy cię uderzy, czy tym razem daruje.

\*

Jana nieśmiało dotknęła palców wystających spod opatrunku.

– Boli? – szepnęła.

- Boli – przyznał Marcus spokojnie.
  - Mogłeś mnie puścić.
  - Nie mogłem.
  - Dlaczego?
  - Bo nie mogłem pozwolić, żeby stała ci się krzywda.
- Skuliła ramiona.
- On wróci... zawsze wraca.
  - To tylko sny, dziecko. Nigdy więcej go już nie zobaczysz.
  - Naprawdę?
  - Naprawdę.

Nie uwierzyła. Trzęsa jej się broda, nerwowo skubała brzeg koca.

- To dobrze... to dobrze – powtarzała głosem drgającym od łez. Milczała przez chwilę, a potem zaczęła mówić cichym szeptem: – Było ciemno, obudziłam się. Myślałam, że to Jarel, ale to był on. Zawsze był dla mnie dobry, ja nie wiedziałam... Myślałam, że mnie lubi. To moja wina.

- Nie, dziecko – odezwał się przez zaciśnięte zęby. – To nie była twoja wina.

- Była! – Podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękami i kołysała się w przód i w tył. – Jarel go odepchnął, a ja wybiegłam i zamknęłam drzwi. Uciekłam. Zostawiłam go samego. A on go bił... Słyszałam, ale nie wróciłam. Nie wróciłam.

- To nie twoja wina. Nie mogłaś nic zrobić.

Przestała się kołysać. Utkwiła w nim ciemne oczy, wypełnione koszmarnymi wspomnieniami.

- To nie była twoja wina – powtórzył. – Nie była.

Wysunęła z łóżka bosc stopy i potykając się, podeszła. Patrzyła na grubą bandaż owijający jego prawą dłoń.

I znów wisiała za oknem z twarzą uniesioną do góry. Widziała rękę zaciśniętą na swoim nadgarstku, jego ściągniętą z wysiłku twarz i krople krwi spadające z rozciętej dłoni. Pulsujący ból szarpał za bark, marzyła, że dłoń otwiera się, a ona powoli spada w dół z szeroko rozpostartymi

ramionami.

Wiatr przyjemnie chłodzi rozpalone policzki, rozwiewa włosy. Czasami udaje się musnąć palcami mur. Ale pęd powietrza rośnie, a wraz z nim strach przed upadkiem i bólem. Zamyka oczy i znów czuje wielką dłoń na nadgarstku. Dłoń, która nie pozwoliła spaść.

Dotknęła opatrunku, potem palców. Cały czas niespokojnie wpatrywała się w twarz olbrzymiego mężczyzny, siedzącego bez ruchu na krześle. Była czujna jak zając, który przycupnął obok myśliwskiego psa i w każdej chwili spodziewa się ataku. Po raz pierwszy ktoś oprócz Jarela troszczył się o nią. Wreszcie trafiła do miejsca, gdzie nie musiała bać się tego, co przyniesie następny dzień. Ale już raz uwierzyła. Też czuła się bezpieczna, a potem... Potem przekonała się, że to było kłamstwo. I znów podszedł strach, a razem z nim wina.

Była jakby rozdwojona. Rozum i serce mówiły, że on nie kłamie, ale w głębi siedziało przerażone zwierzątko, które miotало się oszalałe ze strachu. Chwilami zwyciężał rozum, a potem do głosu dochodziło zwierzątko. Dygotała, usiłując przełamać strach. Powoli przysunęła się jeszcze bliżej i oparła policzek o ciepłe ramię.

Marcus bał się poruszyć. Bał się nawet drgnąć, żeby jej nie przestraszyć. Żeby nie skojarzyła jego ręk z rękami człowieka, który tak bardzo ją skrzywdził. Z pewnością zmarzła, stojąc boso na podłodze.

– Motylku, wskakuj do łóżka, bo zachorujesz.

– Boję się. Boję się spać. On wtedy wraca.

Westchnął. Powoli sięgnął po koc i otulił ją. Skuliła się na podłodze. Przysypiała, tylko czasami jej chudziutkie ramiona drgały i budziła się, oddychając spazmatycznie. Potem usłyszał cichy szept:

– Czy ja tu zostanę? Na zawsze?

– Tak.

– A Jarel?

– On też.

Nie wiedział, jak długo siedział bez ruchu. Najpierw rozmyślał o męż-

czyźnie, który okłamał i tak strasznie ją skrzywdził. Który bez skrpułów znęcał się nad Jarelem i sprawił, że ona obwinia siebie za wszystko, co spotkało ją i brata.

Potem zastanawiał się, jak przekonać ją, że jest już bezpieczna. Że może zaufać jemu i mężczyznom, których tu spotka. Że nie wszyscy są zwierzętami pozbawionymi zasad i wszelkich skrpułów. Co zrobić, żeby nauczyła się śmiać, stroić, a w przyszłości pokochała i była szczęśliwa? Pomyślał, że da jej jakieś miłe zwierzątko. Może kotka? Ale wiedział, że tak naprawdę kupiłby jej zwierzę wystarczająco wielkie i wredne, żeby zeżarło razem z butami każdego, kto spróbowałby ją skrzywdzić.

\*

Posłusznie wstała, wyszli z gabinetu. Minęli taras, za którym widać było długi, pogrążony w półmroku korytarz. Szła coraz wolniej, słyszała cichy szelest kroków na marmurowej posadzce. Zagryzła wargi, dłonie zacisnęła w pięści, strach narastał z każdym krokiem. Było jej przeraźliwie zimno. Zamknęła oczy.

Korytarz... zimno... ciemność... mężczyzna... strach... Gdzieś w głębi piersi budził się krzyk, przesuwiał się wyżej, dusił za gardło.

Marcus stał bez ruchu, nie zrobił najmniejszego gestu, ręce schował za siebie.

– Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty.

– Nie chcę zostać sama... proszę.

Szli razem bez słowa, aż do chwili, kiedy pojawił się Evan.

– Cześć, Marcus – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jak leci?

Była w pułapce, uwięziona między dwoma mężczyznami. Cofnęła się, przylepiając plecy do ściany, powoli zsunęła się na podłogę. Zasłoniła głowę ramionami.

Evanowi opadła szczeka.

– Cofnij się, Evan... jeszcze trochę... – Marcus usiadł naprzeciwko Jany,



ale jej nie dotykał. Milczał przez chwilę. – Są różne sny – powiedział szep-tem. – Jedne miłe, inne nie. Ale bywają też sny wspólne, kiedy dwóm albo trzem osobom śni się to samo. Taki sen nie jest własnością jednej osoby, ale wszystkich, którzy go śnią. Wtedy jest łatwiej, bo można wspólnie bro-nić się przed koszmarami.

– To taki sen?

– Właśnie.

– Mój i twój?

– O, nie. To wspólny sen: twój, mój i jeszcze kogoś.

– Jego? – pokazała brodą Evana.

– E, nie. Trzecia osoba jest za tamtymi drzwiami na końcu korytarza. To moja siostrzenica, nazywa się Susie.

– Skąd mam wiedzieć, że śni mi się to samo, co tobie i tamtej dziew-czynce? – zapytała.

– Wiesz, że to sen, prawda? Wiesz, bo to twój sen. Ja też o tym wiem, bo to również mój sen, ale wszyscy inni uważają, że to dzieje się napraw-dő. Oni nam się tylko śnią i znikną, kiedy się obudzimy. Popatrz, jaki Evan jest zdziwiony. Uważa, że to nie jest sen, prawda, Evan?

Evan przyglądał się Marcusowi, jakby stracił zmysły. Potarł dłonią czo-ło.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. – Może zawołam lekarza?

– Widzisz? Nie wierzy. Jest pewny, że to rzeczywistość, a jest tylko senną zjawą. A kysz z naszego snu! – machnęła ręką. – I nie musisz nikogo wołać, ja jestem lekarzem. Dopilnuj, żeby inne zjawy nie kręciły się po korytarzu. No, a teraz znikaj. Sio!

Evan oddalił się posłusznie, kilka razy obejrzał się przez ramię. Wyglą-dał na bardzo zaniepokojonego stanem umysłu przyjaciela.

Marcus zapukał do drzwi na końcu korytarza, wpuścił Janę, ale nie wszedł do środka.

Kiedy zostały same, zapadło kłopotliwe milczenie. Jana przyglądała się Susie ukradkiem. Dziewczynka była przeraźliwie chuda, z bladej twarzy patrzyły wielkie, brązowe oczy, okolone ciemnymi kręgami. Na głowie miała chustkę, wychudzone dłonie błędziły po kolorowym kocu.

– Usiądź. Strasznie się cieszę, że do mnie przyszedłaś, myślałam, że za nudzę się na śmierć. Niedługo wracam do domu, ale teraz dni dłużej mi się okropnie.

Jana nieśmiało usiadła na skraju łóżka.

– Tu jest ciepło, dlaczego nosisz chustkę na głowie?

– Byłam bardzo chora. A teraz jestem brzydka.

– Jesteś ładna, tylko strasznie chuda. Zdejmij chustkę.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Przestraszysz się.

– Czego? Masz brzydkie uszy?

– Gorzej. Jestem łysa... – Powoli zsunęła chustkę z głowy.

– Wcale nie jesteś łysa, masz po prostu krótkie włosy.

To było bardzo łagodne stwierdzenie. Martha obcięła córce włosy tuż przy skórze, kiedy zaczęły wypadać garściami po lekach.

– Jestem strasznie głupia, prawda? Martwię się włosami, a przecież mam szczęście, że w ogóle żyję.

– Nie jesteś głupia. Poczekaj. – Jana wyjęła chustkę z jej rąk, zwinęła w długi pasek.

– Co robisz?

– Pochyl się. – Założyła kolorową opaskę, zakrywając Susie czoło, z boku zawiązała małą kokardkę. Przyjrzała się jej uważnie. – Ładnie wyglądasz.

Susie popatrzyła na nią z wdzięcznością.

– Przyjdziesz jeszcze do mnie?

– Nie mogę, niedługo sen się skończy. To dobry sen.



MICHAŁ KOZŁOWSKI

## Śmierć króla

Brzegi pól marszczyły horyzont. Ogród państwa Mieleckich wypełniony był zapachem późnowiosennego rozkwitu. Janusz rozpalił grilla. Jego sławna na całe Braniewo karkówka moczyła się już od kilku dni w marynacie z własnoręcznie robionej musztardy i ciemnego piwa. Był cały dzień spięty. Próbował policzyć do stu, jak uczyła go mama, ale to nie przynosiło zamierzonego skutku. Nie mógł się uspokoić. Zapalił papierosa, którego ukradł synowi. Pierwszego od kilku lat. Nic mu się nie zgadzało. Rozpadł się stary porządek świata. Jeszcze raz spojrzął na ścieżkę prowadzącą do bramki. Starał się wypatrzeć na drodze samochód Wojtka – sprawcy tej awantury.

„Wygarnę mu wszystko” – pomyślał Janusz. Zrobiło mu się lepiej. Dorzucił węgla do grilla i otworzył butelkę taniego piwa.

Teresa włożyła swoją ulubioną różową bluzkę z napisem „Queen of Disaster”, którą kupiła w lumpeksie w Braniewie. 14 zł za kilogram. Sobotnia dostawa. Poprawiła oczy i nałożyła na usta szminkę pod kolor bluzki. Smutno uśmiechnęła się do siebie w lustrze. Spojrzała jeszcze raz na wyniki badań. Radio grało Czesława Niemena.

– Nie masz tak samo jak ja – powiedziała do radia i wyszła do ogrodu.

Wojtek był królem pogranicza. Robił przez lata na stoczni jako spawacz, potem, zaraz po transformacji, zaczął własny biznes. Postawił drewniany dom w skandynawskim stylu z kąpielnią i jacuzzi w Nowym Pasłęku. Prezydent i premier przyjeżdżali do niego napić się wódki, uzgodnić interesy i łowić ryby. Wojtek trzymał pieczę nad granicą z Rosją. Nic nie mogło się przecisnąć przez przejście w Braniewie bez jego zgody. Wszyscy u niego kupowali, nawet jak płacili dwa razy drożej. Wszyscy znali Wojtka. Wszyscy pili z nim wódkę. Wszyscy robili u niego jakiś biznes. Wszyscy byli mu coś dłużni. Wszyscy wiedzieli, że Wojtek im pomoże. Wszyscy ważni celnicy byli z jego nadania. Wszyscy chcieli być jak on. Wszyscy go nienawidzili.

Wojtek wiedział, jak się ustawić. Miał zmysł do interesów, potrafił wyczuć, kiedy kupować jagody i grzyby u Rosjan, tulipany u Polaków, ropę u Kazachów, kiedy inwestować w pijalnie piwa w Braniewie, a kiedy sprzedawać udziały w firmie sprowadzającej komputery. Zasiadał w kilkunastu radach nadzorczych okolicznych firm, był członkiem niezliczonych kół łowieckich, związków bartników, wędkarzy. Lubił tylko czystą wódkę i czyste kobiety. Zawsze powtarzał tę dewizę po trzecim kieliszku. Kochał statki. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych kupił od Rosjan za dwie cysterny ropy wrak carskiej łodzi podwodnej. Rosjanie pocięli ją na segmenty i przywieźli do Nowego Pasłęka wielkimi kamazami. Pospawali i postawili na nabrzeżu. Prezydent był zachwycony. Nawet po ustaniu kadencji przyjeżdżał do Wojtka dwa razy do roku. Na ryby i wódkę.

Kiedy myśliwi zastrzelili ukochanego wilczaka czechosłowackiego Wojtka, w sejmowych kuluarach zawrzało. Minister środowiska zastanawiał się, jak szybko mógłby uchwalić nową ustawę, a przewodniczący Polskiego Związku Łowieckiego w Gdańsku postanowił na wszelki wypadek nie odbierać telefonów. Ruch graniczny w Braniewie zamarł. Tymczasem Wojtek płakał w swoim skandynawskim domu.

– Bronek, nie mam czasu na zemstę – powiedział do słuchawki telefonu drugiego dnia rozpaczy. Minister środowiska odetchnął.

Po tym wydarzeniu Wojtek zaczął interesować się odkryciami w dziedzinie farmakologii. Jego przyjaciel, Zygmunt, urolog i podkarpacki biznesmen handlujący owczym serem i kurkami z Białorusią, nagrał mu kontakty w Holandii. Wraz z Profesorem ściągał z Eindhoven półprodukty. Wojtek zajął się organizacją laboratorium, występując jako jeden z prezesów Elbląskich Zakładów Farmaceutycznych. Sprowadził syna swojego kolegi z podstawówki, chłopak ukończył biotechnologię na uniwersytecie w Tokio. Janusz przyklasnął temu pomysłowi, lepiej, żeby młody zajął się podrabianiem leków niż gotowaniem metaamfetaminy.

Janusz pracował razem z Wojtkiem na stoczni na jednej zmianie. Po osiemdziesiątym dziewiątym za namową syna zaczął jeździć na Zachód kupować komputery i sprzedawać wiejski chrzan. Z pomocą Wojtka szybko się ustawił, tak że starczyło mu pieniędzy, żeby wysłać syna do Tokio na biotechnologię. Koszty tej inwestycji w swoją latorośl zmusiły go do wejścia w przemyt. Pod bacznym okiem Wojtka Janusz rósł w siłę i budował koneksje. Zajmował się głównie przerzutem papierosów i alkoholu. Czasami zdarzał się większy numer z amfetaminą lub bronią, ale tego starał się wystrzegać. Jego żona, Teresa, pracowała na poczcie, na której zdobyła niedopałki papierosów różową szminką. Gdzieś pomiędzy wynoszeniem paczek zaadresowanych do nieistniejących ludzi a szóstą zalewką czytała po kryjomu harlequiny. Udując, że nic się nie dzieje, smażyła kotlety schabowe według receptury wyniesionej z domu Kostrzaków.

Nieco później, kiedy pracownicy Wojtka rozkręcili już na dobre sieć dystrybucji, a syn Janusza kupił lexusa za gotówkę, wybuchała afera ze skutkami ubocznymi. Około pięciu do dziesięciu procent wyleczonych z raka lekami Wojtka nie wracało do rodzin. Izolowali się, zostawiali dotychczasową pracę, nie kontaktowali się z rodziną. Po pewnym czasie inni wyleczeni zaczęli zachowywać się podobnie. Jakby zarażeni. Coraz więcej z nich porzucało swoje obecne życie.

Wreszcie kilku z pierwszych rakowców, jak ich szybko okrzyknęły tabloidy, kupiło kawałek ziemi od Rosjan po drugiej stronie granicy,

niedaleko Braniewa, i zaczęło budować nowe państwo. W wieczornych wiadomościach pokazano zapłakaną rodzinę młodego rakowca. Matka zatopiona w rozpacz, w pokoju z plakatem Joy Division na ścianie, mówiła do kamery o braku kontaktu z synem. Potem pokazali księdza, który mówił, że oddalenie się od rodziny i Boga to grzech. A na koniec wypowiedział się pan psycholog z Warszawy:

– Choroba może być traumatyczna i teraz mamy do czynienia z masowym zespołem stresu pourazowego.

Emocje bardzo szybko wymknęły się spod kontroli.

Rakowcy skupili się na sobie i budowaniu swojej społeczności. Kochali muzykę i spokój. Kupowali płyty winylowe oraz żywność od Wojtka. W ten sposób równał straty. Najpierw lekarze nie chcieli przepisywać recept, powołując się na klauzulę sumienia, potem lek został zakazany. Wreszcie cały towar z Elbląskich Zakładów Farmaceutycznych zaczął trafiać na czarny rynek. Warszawa protestowała, onkologia szybko wróciła do chemioterapii. Rakowcy stali się nowym wrogiem, dołączyli do grona zdrajców narodu, zaczęto zamykać ich w szpitalach psychiatrycznych, a rak w publicznej telewizji zaczął przenosić się przez dotyk. Potem przyjechali do nich reporterzy. Nowa Masada, jak ją nazwali, była cichą wioską składającą się z trzech domów, pola i kilku budynków gospodarczych. Rakowcy prawie nic nie mówili, nie odpowiadali i nie reagowali na dziennikarzy. Jeden z ich przywódców, zapytany, jak sobie radzi ich społeczność z odpadkami, odpowiedział, że wszystko, co się da, przetwarzają.

– A gdyby ktoś umarł? – zapytał wysłannik z CNN.

– Ciało to kolejny surowiec do przetworzenia, mięso można zjeść, a ze skóry zrobić wygodne buty – odpowiedział spokojnie niebieskooki, przystojny mężczyzna do kamery. Następnego dnia na portalach społecznościowych artykuł o rosyjskich kanibalach był najczęściej udostępniany i komentowany.

Wojtek przyszedł trochę później, niż był umówiony. Trzymając w ręce dzban własnoręcznie warzonego piwa, wszedł do ogrodu Janusza i Teresy.

Minął białą od kwiatów wiśnię i ruszył w stronę tarasu.

– Może przyjdę kiedy indziej? – zapytał Wojtek, kiedy zobaczył pochmurne twarze gospodarzy.

– Nie, nie, zostań – powiedziała Teresa, jakby wybudzona ze snu. – Proszę, nie przejmuj się, mieliśmy ciężki dzień.

Wreszcie po jakimś czasie zdecydowała się uśmiechnąć.

– Przyniosłem śledzie i piwo – powiedział Wojtek.

Atmosfera w ogrodzie Mieleckich nie podobała mu się. Teresa przyniosła kufle do piwa. Radio grało „Kwiaty we włosach” Czerwonych Gitar. Wojtek nalał sobie piwa. Spojrzał pytająco na Janusza, ten wyciągnął rękę z kuflem.

– Wojtuś, powiedz, o co chodzi... – urwała nagle Teresa, skarcona wzrokiem Janusza.

– No, z czym, Teresko?

– No z tymi całym rakowcami, no wiesz, w telewizji o nich głośno, że ruscy piorą im mózgi i w ogóle.

– No, co z nimi? Są zdrowi, a że chcą do tego spokoju, to chyba ich sprawa.

– Ale Wojtek, co oni, kurwa, wyrabiają? – wybuchł do tej pory milczący Janusz. – We Wiadomościach było. Całe rodziny niszczą! Trupy jedzą! Wojtek, ludzkie trupy, ubrania sobie szyją! A ruskie pozwalają! – Biała ślina pojawiła się w kącikach jego ust. – Wojtek, to ty ich tutaj sprowadziłeś, to ty przywiozłeś tę zarazę.

– Janusz, ja tylko ludzi z raka pomagałem leczyć.

– I co z tego, lepiej, żeby zginęli, niż takie bezbożne, żywe trupy! W końcu wszystkie te lewackie szmaty pojedą do nich nażreć się ludzi. I co tam jeszcze robią. – Janusz zaczerpnął powietrza.

– Tu chodzi o odzyskiwanie surowców, nic się nie marnuje – Teresa wykorzystała moment w tyradzie męża, żeby trochę uspokoić sytuację. Popatrzyła błagalnie na Janusza.

– Gówna, a nie surowców! Kanibale, sprzedawczyki, w dupę ruchane



chuje. O, tyle. – Janusz jeszcze bardziej poczerwieniał. Sapnął i napił się piwa. Odwrócił się w stronę grilla, dźgnął nożem karkówkę. Tłuszcz zaskwierczał na aluminiowej tacce.

– Hipokryci jesteście, kiedy pieniądze się zgadzały, to wszystko było dobrze, teraz, jak idzie trochę gorzej, to od razu sumienie niby gryzie – Wojtek splunął na trawę.

– Kurwa – zaklął Janusz po tym, jak oparzył się w palec.

– Proszę, nie kłóćmy się – powiedziała Teresa.

– Pójdę już – powiedział po chwili Wojtek, chwytając dzban, z którym przyszedł. – Coś mi się odechciało jeść.

– Nigdzie nie pójdziesz – powiedział Janusz, zastępując mu drogę.

– Nie wygłupiaj się – odpowiedział spokojnym głosem.

Janusz szybkim ruchem wytrącił mu dzban z ręki. Piwo rozlało się po świeżo skoszonej trawie. Kufel odskoczył od ziemi, zimny płyn rozprysnął się na wszystkie strony, mocząc nogawki. Trójkolorowa kotka siedząca na ganku nastroszyła uszy, w oddali zaszczekał pies. Niebo pokryło się różową smugą majowego zmroku. Krzyk ugrzązł w gardle Teresy gdzieś pomiędzy zdziwieniem a rozpaczą, kiedy zobaczyła zakrwawiony nóż do krojenia karkówki w dłoni Janusza. Chwilę potem rzuciła się w stronę upadającego Wojtka. Nóż spadł na trawę, ciągnąc za sobą smugę krwi.

– Mam raka – Teresa lekko, jakby uwolniona, szepcze do Wojtka, który tylko mruga oczyma zdziwiony.

Wyciera mu różowym rękażem ślinę z brody. Janusz patrzy na swoje dłonie.



OLGA KOMOROWSKA

## Skarpetka w paski

Wbiła wzrok w drogę po drugiej stronie boiska. Tak bardzo chciała, żeby zza zakrętu wyłoniła się Gosia. Na chwilę zamknęła oczy, bo miała nadzieję, że gdy je otworzy, zobaczy swoją córkę. Takie małe czary-mary. Złudna nadzieja, bo gdy znowu spojrzała przez okno, zobaczyła co prawda idące dzieci, ale nie Gosię.

Oparła czoło o szybę i poczuła chłód. Podniosła gwałtownie głowę, chwyciła torebkę i polar, wróciła po komórkę, zamknęła drzwi i wcisnęła przycisk windy. Nie mogła dłużej czekać. Winda ruszyła z parteru, ale zatrzymała się na dolnym piętrze, ponownie ruszyła w górę, ale znów się zatrzymała.

– Ludzie! Szybciej! – szepnęła i wcisnęła jeszcze raz przycisk, potem znowu i znowu.

W drzwiach klatki schodowej zderzyła się z sąsiadem z IV piętra – lekarzem na emeryturze.

– O, pani Mario, dziś tak prosto w moje objęcia! – sąsiad uśmiechnął się radośnie. – Wie pani, że dzisiaj...

– Nie mogę! – krzyknęła i przemknęła obok starszego pana.

W kierunku klubu sportowego szła szybkim krokiem. Gdy zbliżała się

do budynku szkoły, miała nadzieję, że za rogiem zobaczy drobną postać swojej córki, która jak zawsze jej pomacha, uśmiechnie się radośnie i zawołała: cześć mama! Zobaczyła jednak tylko wysokiego pana z malutkim pieskiem na smyczy, starszą panią z wózkiem z zakupami i młodą parę, która trzymała się za ręce.

Przyspieszyła kroku, wbiegła po schodach do klubu i w drzwiach wpadła na panią Asię – trenerkę aikido.

– Dzień dobry. Czy Gosia jeszcze jest w szatni?

– Nie, wyszła jakiś czas temu. Dobrze dziś ćwiczyła.

– Rozumiem – odpowiedziała Maria.

Odwróciła się i zbiegła po schodach. Rozejrzała się wokół i zobaczyła szyld sklepu spożywczego. Odetchnęła. No przecież! Gosia zawsze tu zagląda i pewnie teraz siedzi w sklepie i wyjada cukierki z torebki.

Ale w sklepie Gosi nie było.

– Pani Mario! – ktoś chwycił ją mocno za rękaw polara. – Co się dzieje? Pani Asia – trenerka – trzymała Marię w mocnym uścisku i patrzyła na nią zaniepokojona.

– Gosia nie wróciła do domu – wyszeptała Maria.

– Zadzwoń na policję.

\*

Maria miała problem z oddychaniem. Czują, jakby każdy skrawek jej ciała przywoływał Gosię, a żołądek chciał wyskoczyć przez gardło. Chodziła wzdłuż trawników i krzaków, bo chciała sprawdzić, czy gdzieś leży kolorowa torba jej córki albo skarpetka w paski, albo różowy but na rzepy. Jeżeli jej córka potrzebowała pomocy, chciała być przy niej, zanim przyjadą policjanci.

– Dzień dobry. – Staął obok niej postawny mężczyzna w mundurze.

– Proszę powiedzieć, co się stało.

– Córka nie wróciła do domu po swoich zajęciach.

– Zdarzyło się już to wcześniej?

– Nie.

– Proszę z nami pojechać na komisariat. Wypełni pani kwestionariusz i rozpoczniemy poszukiwania.

– O nie, panowie! – wtrąciła pani Asia. Czuli się w obowiązku być w takiej chwili przy matce Gosi, dlatego nie pojechała jeszcze do domu.

– Przecież tu się liczy każda minuta! Gosia ma co prawda jedenaście lat, ale ma zespół Downa. Trzeba jej koniecznie szukać.

Policjant popatrzył uważnie na dwie kobiety.

– Dobrze, procedurami zajmiemy się później. Czy dzwoniła pani na telefon córki?

– Tak, ale zostawiła go w domu.

– O której kończyła zajęcia?

– O osiemnastej trzydzieści.

– Proszę podać szczegółowy opis córki.

– Dziewczyna, jedenaście lat, ale niższa niż jej rówieśnice, w granatowej kurtce, na szyi różowy szalik, kolorowa torba na ramieniu, takie kółka kolorowe na białym tle, skarpetki w paski.

Policjant stojący obok zapisywał każde słowo Marii. A potem się odalił i rozmawiał przez telefon.

– Takie mam wyrzuty sumienia. Mogłam po nią wyjść.

Maria trzymała się za brzuch. Nie wiedziała, że strach może tak boleć.

– Pani Mario, niech się pani uspokoi. Gosia to rezydentna dziewczyna. Przecież już tyle razy wracała sama. Chciała być samodzielna. Nie może pani jej trzymać w klatce. – Trenerka położyła jej rękę na ramieniu i uśmiechnęła się pocieszająco.

– Przejdzie się pani ze mną – powiedział policjant. – Czy córka jest nieśmiała? Czy jest otwarta na obcych? Czy jeżeli się przestraszy, to chowa się w jakieś miejsce? Chętnie chodzi do piwnicy? – Maria została zasypa-  
na pytaniami.

– Panie policjancie, czy... – nie była w stanie dokończyć pytania, które

wwiercało jej się w głowę.

– Proszę być spokojną. – Policjant się zatrzymał. Spojrzał w oczy Marii i powiedział rzeczowym, uspokajającym tonem, że ponad dziewięćdziesiąt procent dzieci, które zaginęły, to dzieci, które po prostu uciekły z domu. Prędzej czy później się znajdują.

Chodziła z policjantem po osiedlu. Słuchała krótkich komend, przekazywanych informacji, patrzyła na policjantów, którzy wyłaniali się z różnych miejsc. Przeszukiwali śmietniki, krzaki i otwarte piwnice na osiedlu.

Była już godzina dwudziesta pierwsza, gdy zadzwonił telefon policjanta.

– Tak, jedźcie tam – powiedział do słuchawki.

Maria zeszczywniała.

– Dostaliśmy informację od kierowcy autobusu, że widział na ulicy Dmowskiego idącą samotnie dziewczynkę z takim szalikiem i torbą.

– Kierowca autobusu?

– Tak, gdy zaginie dziecko, powiadamy kierowców taksówek, autobusów i tramwajów.

Ponownie zadzwonił telefon policjanta. Maria poczuła, jak jej serce bije w przyspieszonym tempie.

– Jeżeli nie ma, to sprawdźcie dworzec. Tam najczęściej idą dzieci.

Gdy po chwili znów zadzwonił telefon, miała wrażenie, że serce wpadło jej do żołądka.

– Znaleźliśmy pani córkę – policjant się uśmiechnął. – Na dworcu. Zaraz przyjedzie z policjantami. Tylko proszę o jedno. Gdy zobaczy pani córkę, proszę na nią nie krzyżeć.

Maria kiwnęła głową. Poczowała, jak napięcie opuszcza jej ciało. Ale nie rozumiała jednego: jak miałaby krzyżeć na Gosię?

Stała wśród pięciu policjantów i patrzyła na drogę. Za chwilę miał nadjechać radiowóz z jej córką.

Gdy wyłonił się zza zakrętu, łzy ulgi popłynęły jej po policzkach. Gdy zobaczyła zmęczone oczy swojego dziecka, torbę w kolorowe kółka i ró-

zowy szalik, zachłysnęła się i zaczęła się śmiać, jednocześnie płacząc.

– Gosia – szepnęła i przytuliła córkę. Uklękła przed nią, dotknęła jej twarzy, poprawiła szalik.

– Muszą panie ze sobą porozmawiać – powiedział policjant. – Ale najpierw zapraszam na komendę. Trzeba wypełnić druki.

\*

– Gosia, wiesz, jak ja się denerwowałam, gdy uciekłaś? Dlaczego to zrobiłaś? – Maria postawiła w kuchni na stole dwa kubki – dla siebie białą herbatę, a dla Gosi herbatę malinową.

– Chciałam być samodzielna. Chciałam pójść do Jarka, wiem, że mieszka na Morenie. Ty nie chciałaś mnie do niego zawieźć.

Maria opadła na taboret. Jarek to chłopak w pełni sprawny intelektualnie, ale z zaburzeniami emocjonalnymi. Nie chciała, żeby jej córka się z nim spotykała.

– A jak byś do niego dotarła? Przecież nie znasz adresu. Morena to duże osiedle. Gosia, czy ty wiesz, jak ja się denerwowałam? Tak bardzo, że aż bolał mnie brzuch, płakałam, ręce mi się trzęsły.

Gosia zerknęła na mamę znad kubka z herbatą, ale nic nie powiedziała.

– Gosia, bardzo ciebie proszę, nie rób tego więcej. Nie musisz.

\*

Maria spojrzała na zegarek. Rzuciła ścierkę na stół. Zadzwoiła na komórkę córki, ale nie usłyszała dzwonka telefonu, czyli Gosia miała go ze sobą. I nie odebrała. Za drugim razem również nie.

Założyła buty, chwyciła polar i telefon i wyszła z domu. Na wszelki wypadek zajrzała do piekarni, gdzie Gosia miała kupić chleb, ale tak jak się spodziewała, Gosi nie było.

– Córka była i kupiła chleb! – zawołała ekspedientka.

Maria kiwnęła w podziękowaniu głową, wyszła ze sklepu i przez chwilę myślała, co dalej. Gdzie poszła Gosia? Co chciała osiągnąć?

Stwierdziła, że najpierw sprawdzi okolice klubu sportowego, ale Gosi tam nie było. Potem poszła w kierunku marketu, stamtąd do szkoły, po drodze zajrzała przez szybę do zakładu fryzjerskiego pani Beaty. Gosi jednak nigdzie nie było.

Przypomniała sobie most, który Gosia jej pokazała, gdy jechały do Wrzeszcza. Tym mostem, który prowadził z Zaspy do ulicy Grunwaldzkiej, ostatnio Gosia maszerowała na samodzielną wyprawę.

Maria prawie biegła. Stwierdziła, że jeżeli w okolicy mostu nie będzie Gosi, zadzwoni na policję. Ale teraz jeszcze spróbuje.

– Proszę, żeby tam była, proszę, proszę – szeptała, wydłużając, jak tylko mogła, swoje kroki.

I była. Szła zamasztyłym krokiem. Widać było po jej postawie, że ma plan, ma cel. Machała siatką, w której jednak nie było chleba. Był za to sok i coś jeszcze. Pewnie ciastka.

Maria zacisnęła szczęki i ruszyła na spotkanie swojej córki. Potem nie mogła sobie przypomnieć, czy zatrzymała się przed ulicą, żeby przepuścić samochody.

Chwyliła córkę za ramię i odwróciła w swoją stronę.

– Co ty sobie myślisz! – wrzasnęła. A z oczu popłynęły jej łzy. – Do domu! Ale już! – Maria pociągnęła za sobą córkę, która z przerażeniem patrzyła na swoją mamę, bo jeszcze nigdy nie widziała jej w takim stanie.

– Gdzie masz chleb?!

– Zostawiłam na ławce, żebyś mogła go wziąć.

– Czemu nie odbierasz komórki, gdy do ciebie dzwonię!?

– Wyrzuciłam ją w krzaki, żebyś nie mogła mnie znaleźć – powiedziała Gosia cicho.

Maria nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Szła szybkim krokiem, trzymając w kurczowym uścisku ramię swojej córki. Gdy obie znalazły się pod domem, powiedziała, żeby Gosia znalazła teraz komórkę. Sama stała



i patrzyła, jak jej córka odgarnia gałęzie i liście, żeby znaleźć swój telefon.

W domu kazała iść Gosi do pokoju i zakomunikowała, że porozmawiają później. W tamtym momencie nie była w stanie rozmawiać. Weszła do swojego pokoju, położyła się na łóżku, przykryła kocem w kratę i przytuliła do poduszki. Poczowała się pusta, bez siły, jak balon, z którego uleciało powietrze.

\*

Usiadła u Gosi w pokoju na krześle, które jako jedyne było wolne od porozwieszanych ubrań. Gosia uwielbiała przebierać się i dopasowywać do siebie różne zestawy rzeczy, a potem wszędzie je wieszala.

– Gośka. Ja nie wytrzymam tego, jeżeli jeszcze raz uciekniesz. Ja tak bardzo się denerwuję. To jest dla mnie bardzo, bardzo duży stres. Boję się, że ciebie stracę, że coś ci się stanie. Nie rób tego.

– Mamo, wiesz, że ja jestem teraz w okresie... w tym... no, okresie...

– Dojrzewania?

– No właśnie! Dojrzewania. I ja nie wiem, co mi jeszcze może wpaść do głowy. Wiesz, to jest... hm... silniejsze ode mnie.

– Gosia, proszę ciebie. Jesteś rezolutna dziewczyna, wiesz, co jest dobre, a co złe. Na pewno potrafisz zapanować nad swoją chęcią pójścia w siną dal. A teraz chodź, pójdziemy do biblioteki. Chcę pożyczyć coś dla siebie, żeby zresetować mózg i odpocząć. A dla ciebie pożyczymy płytę z bajką o psie, który jeździł koleją. Wybierzesz też jeszcze coś dla siebie, co będziesz chciała. Ubierz się szybko.

\*

Gosia stanęła w drzwiach pokoju.

– Przepraszam, mamo – powiedziała – już nie będę uciekać.

Maria spojrzała na córkę.

– Chodź – wyciągnęła rękę i posadziła córkę przy sobie. – Co się zmieniło?

– Wiesz co, ten pies jeździ pociągiem. Ucieka, ale potem wraca. I jego pan jest bardzo smutny i się martwi. Ty pewnie też się martwiłaś i było ci smutno.

– Tak, kochanie – Maria przytuliła Gosię do siebie. – Bardzo się martwiłam.

Wskazówka na zegarze przesunęła się o kolejną minutę. Minęła godzina osiemnasta. Za oknem zapaliły się latarnie.



KAROLINA KARNAS

## Ten dzień

Wtorek, 9 października

Obudziłem się wcześniej niż zwykle, bo dziś jest ten dzień. Dzisiaj uzupełniłem zapasy, choć wolę to nazywać robieniem zakupów. Cóż, jestem sentymentalny. Dawniej nawet bym siebie nie podejrzewał o posiadanie tak zbędnej cechy charakteru. Ponoć doświadczając sytuacji ekstremalnej, człowiek odkrywa swoje prawdziwe „ja”. Oznaczałoby to ni mniej, ni więcej, że stoję przed obliczem końca świata jako jeszcze większy mięczak niż dotychczas.

I trochę mnie to bawi.

Z tym mięczakiem to ciut podkoloryzowałem. Mam, co gorsza, pewne podejrzenia, w jakim celu. Zgrabny rumieniec pod publiczkę? Uporczywa czkawka po profesorskich latach, kiedy seriami puszczałem szelmowskie, nieraz wręcz bezwstydne oczka do swoich studentów, a zwłaszcza studentek? Czego to człowiek nie robił, by zyskać sympatię...

Przyzwyczajenia, podobnie jak niektóre choroby, są chroniczne. Zastanawiające, że nikt nie prowadzi kampanii uświadamiających na ten temat. Taka mała dygresja zupełnie na boku. Jak widać, narcystycznej nuty,

pobrzmiwającej w liczącej sobie pięćdziesiąt osiem wiosen, czy raczej, co bardziej adekwatne, jesieni i zim, duszy, nie zdołała zagłuszyć nawet apokalipsa. Dobrze jest mieć powód do radości. A ten jest niczego sobie. Bo gdyby i ta nuta wybrzmiała, czy nadal poznawałbym siebie w lustrze? Przecież tyle się zmieniło. We mnie, na skutek tego, co poza mną, poza mną na skutek... No właśnie. Świat składa się z zagwozdek. To jedyna stała, na której w dzisiejszych czasach można polegać.

Przyczyny wydarzeń ostatnich pięciu lat doszukiwano się w zanieczyszczeniu środowiska, patogennej żywności, a nawet w skażonej plastikiem wodzie. Część naukowców obarczyła winą smog elektromagnetyczny. Bezprzewodowy, szerokopasmowy internet i sieci wi-fi okrzyknięto mianem kosiarzy umysłów XXI wieku. Nigdy nie spałem ze smartfonem pod poduszką i nie posiadam routera. Czy dlatego jestem w porządku? Nie mam pojęcia. Nikt go nie ma.

Spora grupa badaczy dopatrywała się w tym wszystkim czynnika organicznego – wirusa, od biedy jakiegoś mikroba, który okazałby się twardym skurczybykiem na miarę starotestamentowego Dawida. I co? Znaleźli ilość biblijnych skurwieli równą zeru. Na myśl, ile mózgow pokroili, by dojść do tak okrągłego wyniku, ciarki drepczą mi po karku i wyżej.

I oto jest kolejny powód do zadowolenia: moja cabeza<sup>1</sup> nie posłużyła za ćwiczebnego arbuza w jakimś ostatecznym, przypominającym prosek-torium pokoju badań. Teraz bardziej niż kiedyś doceniam błahe radości. Taki ze mnie mięczak. Pozwolę sobie puścić oczko, z przyzwyczajenia.

Psychiatrzy z kolei wskazali na przeciążenie ludzkiej psychiki w wyniku zalewu informacji i konieczności podejmowania zbyt wielu decyzji w zbyt krótkim czasie. Prowadzone przez nich badania wykazały, że wśród chorych przeważają osoby inteligentne. To by tłumaczyło, czemu dwóch kolegów z mojej dawnej katedry, doktor habilitowany i, z całym szacunkiem dla tytułu naukowego, profesor nadal cieszą się dobrym zdrowiem. Ale ja? Czyżbym, ze swoim wyższym wykształceniem i jeszcze wyższym

1        Hiszp. 'głowa'.

mniemaniem o sobie, okazał się zbyt ograniczony umysłowo, by paść ofiarą dziesiątkującej ludzkość plagi? Oto jest pytanie.

Niezawiniona i nieodwracalna odporność wskutek wrodzonego, popartego tytułem naukowym lub nie, imbecylstwa. Cóż za piękna rzecz. I jakże niezawodne antidotum na całe życie! Właśnie z tego powodu teorii tej sprzyjam najbardziej. Mądrale niech sobie zasuważą do upadłego. Ja mam już fajrant. Mój mózg, w swej głupocie, okazał się od ich mózgów mądrzejszy – nie dał się ponieść owczemu pędowi do zdobywania wiedzy o wszystkim i o niczym i dlatego nie zatonął w odmętach wszechwiedzy jak inne, tęższe od niego. Hip, hip, hurra, chciałoby się zawołać. Jeśli to prawda, czuję się diabelnie wyróżniony. W życiu, jak w grze w bingo, liczy się wygrana, czyż nie?

Skoro dotąd jej nie odkryto, mniejsza o przyczynę. Faktem jest, że świat oszalał. Nie od razu, rzecz jasna. To nie stało się z dnia na dzień. Namieszanie w głowach dwóm miliardom ludzi nie mogło być zadaniem na jedno popołudnie. Wariactwo rozprzestrzeniło się niemal niezauważalnie i nikt nie łączył ze sobą pojedynczych przypadków popadania w obłąd, dopóki nie przestały być pojedyncze i przypadkowe. Trwało to dwa, może trzy lata, zanim powszechnie dostrzeżono schemat ogarniającej świat szajby.

Początek dla każdego miał twarz innej osoby. Mój był kobietą w średnim wieku w niebieskiej, sięgającej niemal do kostek watowej kurtce i w białym szaliku, przewiązanym niedbale wokół szyi. Była połowa grudnia. Siedziała na ławce, naprzeciwko żabki przy ulicy Długiej, pokrzykując na szczupłego chłopka z gitarą, który stał tuż obok wejścia do sklepu. Gdy go mijałem, kończył grać rockową balladę. Dotąd nie poznałem jej tytułu, choć od tamtego wieczoru myślałem o niej już z milion razy.

– Dobrze było, tylko zrób to pół tonu niżej! – wołała poufale do młodego, powtarzając w kółko te same słowa.

Pomyślałem, że uczy go grać. Zastanowiło mnie tylko, dlaczego chło-

pak ani razu jej nie odpowiedział. Co dziwniejsze, nawet na nią nie spojrział. Zmierzałem już powoli w stronę kasy, gdy tutorka weszła do sklepu. Od progu głośno oznajmiła, że ma ochotę na kremówkę, taką do ubicia, wyjaśniła, bo jej córki przyjeżdżają w odwiedziny. Ekspedientka potraktowała ją jak powietrze. Kobieta pokręciła się chwilę po lokalu, wesoło przestępując z nogi na nogę. Następnie podeszła do kontuaru i wyciągnęła ze stojaka lizaka chupa chups, obejrzała go z bliska, po czym oświadczyła wszem wobec, że to bardzo smaczny lizak i zamierza go kupić. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że to naprawdę się dzieje. Pamiętam, że mimo ciężącego mi koszyka bałem się stanąć w kolejce. Czekałem, przyczajony za regałem z chipsami, aż do momentu, gdy biedaczka, bez lizaka, opuściła sklep. Taka nieco dłuższa dygresja związana z zakupami. Dziś jest ten dzień.

Po dokładnej, przeprowadzonej z okien mieszkania obserwacji terenu osiedla, zaopatrzonego w gaz pieprzowy, wyruszyłem w utartą drogę w kierunku jedyne w okolicy czynnego marketu. Zgadnijcie, jakiego. Tak, to ten. Wszystkie inne trafił szlag. Na tym prowincjonalnym zadupiu, które z niepojętych przyczyn tytułowane jest miastem, ostał się tylko jeden większy sklep. Zabawne, że ta i jej podobne, trywialne, a mimo wszystko nurtujące człowieka kwestie, nie straciły na znaczeniu po nastaniu dnia świra.

Ów żabi dołek to nie jest moje miasto. Kiedy mniej więcej rok temu zastępy wariatów opanowały Gdańsk, w tym mój ukochany Dolny Wrzeszcz, zmuszony byłem poszukać nowego miejsca na spędzenie przedwcześnie rozpoczętej emerytury. Emilia, owdowiała anglistka i dawna sympatia z czasów studenckich, gdy moje zaangażowanie w życie społeczne osiągało pułap F-18-tek, a żądza odkrywania świata miała penetracyjny charakter, namówiła mnie na przeprowadzkę do Nowego Dworu Gdańskiego. Wprowadziłem się więc do mieszkania obok niej, którego poprzedni lokator, notabene także nauczyciel, oszalał. Zadupia, przez sam fakt bycia zadupiami, stwarzały jako takie szanse na w miarę spokojne życie w oto-

czeniu znośnej liczby pomyłków. W Gdańsku strach było wyjść z domu.

Opuszczając budynek, rozejrzałem się kilkakrotnie na boki. Było pusto, ale nie cicho. Odgłosy z pobliskiej budowy docierały aż tutaj. Czas nie przynosił rozwiązania problemu, jedynie więcej szajbusów. I gdzieś trzeba było ich pomieścić. Nowodworskie Specjalistyczne Osiedle Opieki nad Osobami z Zespołem Permanentnej Powtarzalności Zachowań wkrótce miało rozewrzeć swoje podwoje. Wszelkie możliwe szpitale były przepełnione, a nowe powstawały zbyt wolno, żeby zaspokoić rosnący popyt. Chorzy coraz częściej pozostawali ze swoimi rodzinami i paraliżowali życie najbliższym. Czary goryczy przelewały się lawinowo, a fale protestów wybuchały w całym kraju. W telewizji w kółko o tym bębnilo.

Deweloperom nie trzeba było dwa razy powtarzać, tym bardziej że zainteresowanie mieszkaniem gwałtownie spadło. Zaczęli przekształcać świeżo powstałe nierentowne osiedla w opiekuńczo-mieszkaniowe prywatne kompleksy dla osób z ZPPZ. Spersonalizowane, komfortowe wnętrza i całodobowa opieka sprzedają się na pniu. Teraz cwaniaki prześcigają się w projektowaniu jeszcze bardziej spersonalizowanych i opiekuńczych klatek dla wariatów. Ludzie tego chcą. Dla siebie. Dla swoich bliskich. Jakby mogło to cokolwiek zmienić.

Jak w każdy od dziewięciu tygodni wtorek na mojej trasie pojawia się staruszka z wózkiem. Tyle że żadnego malca w nim nie było. Nie musiałem zaglądać do środka, by to wiedzieć. Robiłem to kilka pierwszych razy. Nic się nie zmieniło, bo nie mogło. Tak działał nowy, szalony świat. Wariactwo było w nim normą i było powtarzalne.

Z wrodzonej uprzejmości wysłuchałem, co miała do powiedzenia. Znałem na pamięć każde słowo wychodzące z tych ust, przypominających obłąkający z farby kadłub porzuconego statku. Po raz dziewiąty starsza pani spytała mnie, czy mógłbym z łaski swojej powiedzieć jej, która jest godzina. Potem przeproszającym tonem wyjaśniła, że jest to jej pierwszy spacer z wnuczkiem, i że z podekscytowania zapomniała założyć zegarek. Obawiała się, że może nie zdążyć wrócić z malcem na czas do syna.



– Jasiu – w tym miejscu zawsze przerywała, aby pochylić się nad wózkiem i zajrzeć do dziecka, a następnie zatroskaną, zgrubiałą w stawach dłonią poprawić błękitny kocyk w uśmiechające się delfiny, którym okryty był szmacyany gałganek – jedzie dziś z tatą do szpitala, na badania. Podniosła na mnie zmęczone, rozmyte oczy. – Ma chore nerczki, ale jest takim pogodnym chłopcem.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową. Nie spojrzałem na zegarek. Nie musiałem. Nic się nie zmieniło. Nie mogło. Była dokładnie 8.30. Wariactwo odznaczało się również punktualnością. Podałem staruszce godzinę, a ta uprzejmie mi podziękowała i zaczęła się oddalać.

Patrząc, jak powłóczy nogami, pchając pusty wózek, by jak zawsze zniknął za blokiem 4C, ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że szaleństwo robi na mnie coraz mniejsze wrażenie. Ile razy pokonywała już tę trasę? Czy dla niej też był dziś wtorek? Dlaczego nikt się nią nie zaopiekował, gdy zachorowała? Zadałem sobie te pytania, ale mój umysł, tym razem, nie ruszył w pogoń za odpowiedziami.

Z zapętlenia nie sposób się wyrwać. Ani samodzielnie, ani z pomocą innych. Szpitale, pozamieniane w domy wariatów, pełne były babć prowadzących wózki z wymaginanymi wnuczętami w kierunku nieskończoności. Przez ułamek sekundy wyobraziłem sobie tę starszą panią w długiej białej koszuli nocnej, niestrudzenie pchającą swój obłęd po szpitalnym korytarzu, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką. Na to nie było lekarstwa. Pozostawało utrzymywanie chorego przy życiu i pozwolenie mu na trwanie w złudzeniach. Zresztą wariaci, którym przerwano ich szaleństwo, wkrótce po tym zwykle umierali na zawał. Wcześniej jednak wpadali w amok. Stąd gaz pieprzowy w mojej kieszeni.

Na początku nie zdawałem sobie sprawy z ryzyka. Tamtego pamiętnego popołudnia wszedłem do gabinetu rektora uzbrojony jedynie w podręczne riposty. Nawet na mnie nie spojrzał. Pisał coś zawzięcie na komputerze. Cała uczelnia wiedziała, że smaruje kryminały, których nikt potem nie wyda. Polonista. Przez chwilę, bez skutku, próbowałem

zwrócić na siebie jego uwagę. Spieszyło mi się, a że przyjaźniliśmy się z Jarkiem od lat, obszedłem biurko i odsunąłem go od niego wraz z krzesłem. Nigdy nie zapomnę tego widoku: jego dłonie zawisły w powietrzu, a palce usiłujące nadal pisać, trafiały w próżnię. Zanim zdążyłem ocenić sytuację, znieruchomiały. Wtedy zrozumiałem, ale na ucieczkę było za późno. Studwudziestokilogramowe cielsko runęło na mnie, w ułamku sekundy zwalając z nóg i przygważdżając do parkietu jak pinezkę. Potem nastąpiła seria ciosów w głowę i twarz. Straciłem przytomność. Gdyby nie wszędobylska asystentka... Gaz pieprzowy. Od tamtej pory nie ruszam się bez niego z domu. I nie pracuję na uczelni. Zresztą niektóre wydziały przekształcono w wariatkowa. Kwestia czasu, aż znikną wszystkie. Wariatów stale przybywało, studentów przeciwnie.

Kiedy przechodziłem obok bloku E, jak zwykle zniesmaczył mnie napis na jego ścianie: *Zapętleńcy do piachu!* Okraszony bazgrołem, przedstawiającym szubienicę i konającego na niej wisielca z długim wywieszonym jęzorem, zasługiwał jedynie na pogardę. Kilkakrotnie zgłaszałem kwestię tego haniebnego graffiti zarządowi wspólnoty, podobnie jak właścicielka II Osiedlowego Domu Opieki nad Osobami z ZPPZ, zwanego potocznie domowym wariatkowem, ponieważ mieściło się w prywatnym mieszkaniu na parterze budynku. Niestety, kilku członków zarządu należało do Ogólnopolskiego Ruchu Eutanazyjnego.

*W Holandii nie mają przepelnionych szpitali! Albo: Niańczenie PPZ-tów to gorsze życie dla RESZTY!*

Po kimś skandującym tego typu hasła nie sposób oczekiwać załatwienia sprawy.

Tuż nad graffiti powieszono billboard reklamujący nową usługę jednego z operatorów telefonii: *TWÓJ OSOBISTY OPIEKUN ZDROWIA PSYCHICZNEGO. Codzienne sms-y kontrolne, czy nie zwariowałaś.* O to w tym chodzi. Nie odpiszesz, twój „prywatny” opiekun zadzwoni z zestawem pytań sprawdzających poczytalność. Nie zdasz, informowane są odpowiednie służby. Usługa godna uwagi. Nie mrugam. Słowo.

Trudno uwierzyć, że los PPZ-ta lub po prostu zapętleńca, jak utarło się nazywać chorych, spotkał już co trzecią osobę na świecie. Od dziecka łączywie śledziłem zdobycze cywilizacji, szeroko pojęty postęp, ale nigdy przez myśl mi nie przeszło, że pewnego dnia będzie on proporcjonalnie odwrotny do miary, czy raczej bezmiaru szaleństwa. Jakiś filozof albo pisarz fantastyki z pewnością to przewidział. Ja, doktor politologii i europeista, z oczywistych przyczyn nie mogłem. Taka dygresja na marginesie.

Mijałem kolejne dziesięciopiętrowe morelowe bloki, a nosy moich zaprawionych w boju butów z górskich wędrówek (oj, jak ja kiedyś to kochałem) szły po własnym śladzie. Było znacznie chłodniej, niż przewidywałem. Drelichowa kurtka okazała się zbyt cienka, by zapewnić ochronę przed gwałtownymi podmuchami północnego wiatru. Całe szczęście niosłem sporych rozmiarów plecak, który troszkę mnie osłaniał.

Zatrzymałem się na skraju parkingu i rozejrzałem po okolicy. Market wyglądał zwyczajnie. Przed wejściem jakiś mężczyzna szamotał się z wózkiem, który zakleszczył się w stojaku. Poczekałem, aż zdoła go wyciągnąć i dopiero wtedy ruszyłem w stronę sklepu. Mój wózek nie stawiał oporu. Małe radości.

Celowo robiłem zakupy we wtorek, nie dzień wcześniej, gdy była dostawa towaru, a sklep oblegały tłumy, ale też nie później, gdy półki zaczynały świecić pustkami. Wtorek, 8.40. To był idealny czas. Wjechałem przez bramkę wprost do działu warzywno-owocowego – układu działów nie zmieniła apokalipsa. Wybrałem cztery jędrne pomidory, pięć cebul i dwie główki czosnku, jak zawsze. Z owoców jem tylko polskie jabłka. Kupiłem siedem, po jednym na każdy dzień tygodnia. Niezmienny nawyk.

Po sklepowych alejkach kręciła się garstka ludzi. Mijałem twarze klientów ze spuszczoneym wzrokiem, mimo że niektóre wydały mi się znajome. Normalni, nienormalni, wolałem założyć to drugie. Wiadomo, wariatom podobnie jak wściekłym psom, nie należy patrzeć prosto w oczy. Zacząłem obchodzić kolejne stacyjki z listy. Przedwcześnie powystawiane pla-

katy wykrzykujące świąteczne promocje utrudniały mi odnalezienie produktów. Z każdym rokiem tego typu akcje rozpoczynały się tydzień, dwa wcześniej. Nie dostałem śmietanki do kawy ani nawet mleka bez laktozy.

Dział chemii gospodarczej. Mydło, płyn do naczyń. Najlepszy, jaki mają w ofercie. Ten sam, którego używała Emilia, zanim... Chorzy powtarzali czynności, które lubili wykonywać. Byli zapętleni w przeżywaniu swoich przyjemności do upadłego. Niecały miesiąc po tym, jak się wprowadziłem, Emilia oszalała. Mieliśmy się znów ku sobie. Zaniepokojony dłuższym brakiem kontaktu z jej strony poszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Znalazłem ją ślaniającą się nad kuchennym zlewem, z nieprzytomnym wzrokiem i dłońmi wyżartymi do żywego mięsa przez detergent. Zmywała naczynia. To było jak film puszczonej w zwolnionym tempie. Talerz na minutę. Szybciej nie była już w stanie. Tak bardzo lubiła zmywać. Mówiła zawsze, że to ją odpręża. Zabawne, że wykańczały nas te same zajęcia, które wcześniej sprawiały największą przyjemność. Zupełnie jak z paleniem i piciem. Pozwolę sobie westchnąć.

Tylko nielicznym dane było przeżywać w kółko nie jedną, konkretną czynność, ale jakieś wyjątkowo przyjemne albo ekscytujące wydarzenie z ich życia. Jeśli mieli szczęście i wydarzenie to uwzględniało spożycie posiłku, radosne deja vu mogło trwać nawet bardzo długo. Staruszka ze ścieżki zapewne zaliczała się do tej właśnie grupy wybrańców. Szczęściarze? Pozostawiam tę kwestię do namysłu.

Lubię sporządzać listy. Na końcu każdej obowiązkowo musi się znaleźć pozycja oznaczona znakiem zapytania – coś ekstra, miejsce na improwizację. Zawsze uważałem, że dobrze jest ją sobie zaplanować. Tym razem mój wybór padł na gorzką czekoladę. Do kawy będzie jak ułał, pomyślałem, biorąc ładnie opakowaną tabliczkę z półki.

Przy kasie zdobyłem się na żart:

– Wygląda na to – powiedziałem do kasjerki – że powróciła choroba wściekłych krów, bo z nabiału znów nic nie ma.

Młoda szatynka z koczkim ześlizgnęła wzrok po mojej twarzy, zu-

pełnie jakbym opowiedział jej jeden z kawałów, za które Kain zabił Abła, a których tak bardzo wystrzegałem się przy moich studentach. Zamiast uśmiechem, zaszczyliła mnie jedynie kwotą, jaka się należy. Za tydzień wymyślę lepszy.

W drodze do domu zaczął mnie pijany obdartus. Picie i komunie święta są teraz w modzie. W dowolnej kolejności. Zaczął się ze mnie bezczelnie naśmiewać, potrząsając niesymetryczną dziurą w brudnozielonym swetrze, zlokalizowaną na wysokości pępka. Potem brutalnie mnie szturchnął, mamrocząc przy tym coś pod nosem, tak niewyraźnie, że nie byłem w stanie zrozumieć ani jednego słowa. Usiłowałem się wyswobodzić z cuchnącego odorem trawionych wymiocin uścisku, ale ciężący na ramionach plecak za bardzo ograniczał moje ruchy. Pijaczyna popchnął mnie i o mało się nie przewróciłem. Odzyskawszy równowagę, wrzasnąłem, żeby spieprzał. Wtedy on podniósł ręce w geście kapitulacji, a następnie oddalił się rozbujanym krokiem, niczym Latynos tańczący sambę, zdawkowo kasłając mi jeszcze na do widzenia.

Powróciwszy do swojego azyłu, z ulgą opadłem na ulubiony fotel. Nałożyłem płytę z muzyką z seriali – motyw z Policjantów z Miami zawsze mnie odpręża. Wyprawę należało zaliczyć do udanych. Spotkałem, zaledwie, dwóch oczywistych wariatów. Dobry wynik.

I powód do radości.

Kolejna za tydzień.

Zrobiłem sobie kanapkę z pasztetem (zapobiegliwie, tuż po przeprowadzce, wypełniłem nimi jedną z kuchennych szafek), majonezem oraz pomidorem. Pijąc zwyczajową okołopołudniową kawę, niestety bez śmietanki czy choćby mleka, ale za to zagryzioną oryginalną szwajcarską czekoladą, zacząłem planować następne wyjście do sklepu. Potem, aż do wieczora, czytałem książkę, tym razem jedną z pozostawionych przez poprzedniego lokatora, który wyprowadził się do niepoczytalności. I tu pozwolę sobie na dygresję: przez całe życie byłem miłośnikiem książek i zachwalałem swoją pasję innym. Znając już przyszłość, polecam bycie

kinomanem. Zgłębienie całej historii zajmuje jakieś dwie godziny, a oszczędzony tym sposobem czas można poświęcić na pisanie własnej, prawdziwej.

Punkt 21.00 podszedłem do okna w salonie i podpaliłem knot stojącej na parapecie wysłużonej lampy naftowej. Nikogo dziś nie obstawiłem. Czy ktoś postawił na mnie? Policzyłem światełka poczytalności w bloku naprzeciwko – utarło się tak je na naszym osiedlu nazywać. Brakowało jednego. Samotna matka z trzeciego piętra. Jutro z rana trzeba będzie tam pójść i sprawdzić, co się stało. Mareczek, sąsiad z parteru, z pewnością się ucieszy. Lubi sobie stroić żarty z wariatów. A przecież wariactwo dawno przestało być czymś dziwnym i krępującym. Być może, podobnie jak starość, czekało każdego, o ile będzie mu dane żyć dostatecznie długo. Czy doświadczę jednego i drugiego? Oto jest pytanie.

Pomysł nagrywania relacji z co ciekawszych dni zrodził się w mojej głowie, jak to czasami bywa, przez przypadek. Odkąd sięgam pamięcią, lubiłem przemawiać (ach, ta narcystyczna nuta!). Niemożność pracy ze studentami dawała mi się ostatnimi czasy mocno we znaki, jednak wyplwanie słów w pustkę wydawało mi się równie żalodne, co niedorzeczne. Szesnaście gigabajtów cyfrowej pamięci nią nie było.

Ciężki żywot katarzyniarza w poście... Niech to będzie taki mój prywatny audiodiariusz. Nawet nie zamierzam tego później odsłuchiwać. Nie jestem megalomanem. Cóż, człowiek pomimo przeszkód musi robić to, co lubi, żeby nie zwariować. Puszczam ostatnie na dziś oczko. Do siebie.

Wtorek, 9 października

Obudziłem się wcześniej niż zwykle, bo dziś jest ten dzień. Dzisiaj uzupełniłem zapasy, choć wolę to nazywać robieniem zakupów. Cóż, jestem sentymentalny...



OLA JAKUBOWSKA

## Jesień

Irene zadrzała.

Nie, nie z zimna.

Obudził ją krzyk oceanu. Zanim położyła się do łóżka, zostawiła otwarte okno i teraz szum wzburzonych fal wpadał wprost do pomieszczenia. Było coś niepokojącego w tych odgłosach. Tak, zdecydowanie ocean dzisiejszej nocy przynosi nieoczekiwane nowiny. Nie może tak tu zostać. Musi, po prostu musi tam pójść.

Nie namyślając się zbyt długo, zbiegła na dół po wąskich kamiennych schodkach, w pośpiechu zapinając cynowe guziki długiej, błękitnej szaty i skórzany pas z metalowymi ogniwkami. W niewielkim salonie natknęła się na Małego Pi. Pies czujnie drzemał w fotelu, wyblakłym i upstrzonym niezliczonymi śladami ludzkiej egzystencji. Prawie nikt już z niego nie korzystał, jednak Irene nie miała serca się go pozbywać. Był jej słabością i siłą. Ukochany fotel Simona. A teraz sypiał w nim Mały Pi.

– Mały Pi, chodź... no chodź, staruszk.

Pies zaraz się poderwał, przeciągnął na tylnych łapach, trzasnął kośćmi w stawach i zadreptał wokół własnej osi. Irene okryła blade ramiona chustą i wyszła przed dom, gdzie wiatr wył wśród drzew. Miękką wełną



merynosów dawała częściowe schronienie, ale ostre poddmuchy i tak smażyły jej twarz i kończyny; ciało Irene nie broniło się przed nimi.

Nawet nie spostrzegła, że jest boso. Sto metrów dalej, zaraz za kępą drzew i krzewów, głuchy huk oceanu przyzywał ją do siebie. Mały Pi czmychnął w gęstwinę zieleni, na moment znikając jej z oczu. Drobne, szorstkie liście manuka drażniły wewnątrz jej dłoni, gdy przedzierała się przez zarośla. Irene zignorowała ostrzeżenie i z lekkim wahaniem stanęła na białym piasku, tak niedawno jeszcze nagrzanym słońcem i wesoło chrzęszczącym pod piętami. Małe ziarenka kwarcu, porywane przez wiatr, obijały się o jej nogi, kłując w kostki i łydki.

Nadchodziła jesień. Pogoda nie była już tak przyjazna jak jeszcze parę dni temu, wiatry wiały teraz nieustannie i bezlitośnie. Irene to nie przeszkadzało. Kochała ocean. Zawsze, o każdej porze roku, nocą i o brzasku dnia. Za każdym razem inaczej fascynował, zaskakiwał. Ale dziś...

Bała się tego, co tam ujrzy. Stanowczo dzisiejsza noc nie jest tą ciekawą tajemnicą, znajomą towarzyszką, z którą można przyjemnie pogawędzić i przetrwać bezsenność; dzisiejszej nocy cisza nadaje ton wszystkim odgłosom żywiołów, zwierząt i ludzi. Rzadko się takie zdarzają, a już zwłaszcza we wrześniu. Taka noc nie zachęca ani do spacerów, ani do wieczornych szaleństw. Ma w sobie coś, czego nikt nie znosi i czego się obawia. Zimny, przeszywający chłód. Coś, czego wolimy się wyprzeć, zepchnąć w głąb i nie pamiętać o tym więcej. Coś, co napawa nas wstydem, czasem wstrętem lub śmiertelnym strachem. To coś, niekochana częśćka nas samych. Odpychająca. Lekceważona. Zapomniana. Dzisiejszej nocy ta część przypomina o swym istnieniu. Nie przemawia szeptem, nie woła z oddali, nie jest natarczywa. Po prostu wkracza. Przenika wszystko. Całą sobą. Nie można od niej uciec. Czuć ją każdym kawałkiem ciała i umysłu, każdą komórką. Jakby ktoś wyssał z powietrza energię słońca. Wtedy najmocniej odczuwa się to oddzielenie, ten rodzaj samotności, w którym nie sposób uciec przed samym sobą.

Ocean także odpowiedział na ten zew. Był niespokojny i podekscyto-

wany. Pieniąc się i burząc, zachłannie wgryzał się w brzeg, jakby chciał ją dosięgnąć i zagarnąć do siebie.

Przytrzymując dół sukni, Irene zanurzyła stopy w zimnej, słonej wodzie. A więc teraz nadchodzą zmiany, zmiany ogromne. Pewnie i ta zmiana ma w sobie jakiś istotny cel. Trudne do określenia zmiany oznaczały jesień, ale też... Kolejny dreszcz przeszył jej smukłe ciało. Nie było jej zimno, to wewnętrzny krzyk oceanu zburzył jej spokój. Ten sam krzyk słyszała w wigilię św. Jana dwadzieścia jeden lat temu, kiedy świętek Zachodniego Wybrzeża znalazł ją jako młodziutką żonę latarnika, a szczyt smukłej wieży po raz ostatni wskazał swym blaskiem bezpieczną drogę pośród fal.



EWA IDŹKOWSKA

## Ukradkiem

### POWRÓT

Przedział był pełen. Osem osób na małej przestrzeni, po cztery z każdej strony. Moje myśli przerywał rytmiczny stukot kół pociągu. Siedziałam uwięziona między dwoma śpiącymi młodymi mężczyznami. Trzeci, drobnej budowy, wciśnięty w kąt udawał, że go nie ma. Siedząca naprzeciwko niego młoda dziewczyna desperacko próbowała włożyć kurtkę, mimo że w przedziale było bardzo gorąco. Obok niej najstarsza w tym towarzystwie kobieta regularnie zdawała komuś przez telefon relację z podróży, zawsze nerwowo kończąc pytaniem:

– Będiesz na dworcu?

Upalny dzień, przez szybę zaglądały promienie słoneczne. Pot spływał mi po plecach. Zabzyczała uwięziona w przedziale mucha. Od sąsiada z lewej strony poczułam ostry zapach alkoholu. Szarpnęłam za uchwyt, chcąc otworzyć okno. Do środka wdarło się gwałtownie powietrze. Wtedy ona na mnie spojrzała. Zdegustowana. Błada długonoga blondynka o cerze nakrapianej jak indyjskie jajo. Niefrasobliwość połączona z prostotą. Obok niej spał niepozorny chudzielec. Podmuch wiatru uderzył go zasłonką w twarz. Otworzył oczy zaskoczony.

– Napijesz się? – zapytała.

– Tak – odpowiedział i położył odruchowo rękę na jej udzie.

Spojrzeli na siebie, nagle zaskoczeni. On cofnął rękę. Ona odwróciła głowę. Szczęście odwróciło wzrok. Byli sami wśród wirujących w słońcu tęczowych drobinek kurzu. Sok z nektarynki spływał mu po brodzie, gdy pił. Kichnął.

Demonstracyjnie zamknęła okno.

Patrzyłam, jak kropelki potu zbierają się nad jej górną wargą i na brodzie.

Za oknem uciekały drzewa.

Iława.

Malbork.

Tczew.

Pruszcz.

Głośnik zachrypiał, oznajmiając zbliżanie się do stacji Gdańsk Główny. Natychmiast wstała, szybko związała włosy w koński ogon, narzuciła żakiet i opuściła przedział.

On ocknął się później. Gdy pociąg wtaczał się na stację, chwycił plecak i wybiegł.

Otworzyłam okno. Zabrałam swoją torbę podróżną i wyszłam za nim.

Zobaczyłam ich potem. Szli obok siebie. Oddzielnie. Każde z rękami w kieszeniach. Stukot jej wysokich obcasów odbijał się echem w podziemnym tunelu.

Wiatr zawiął mocno na przystanku tramwajowym. Podniosłam głowę, wsłuchując się w samotny krzyk mewy szybującej na wietrze wysoko nade mną.

## LIST

Upalne popołudnie. Na placyku przed pocztą nauczycielka bardzo głośno zapytała zgromadzone wokół niej dzieci, czego nauczyły się niedawno na zajęciach.

– Pisać listy! – wykrzyczała zgodnie grupa.

– Pisać listy i adresować koperty – uzupełniła zadowolona. – A do kogo pisaliście swoje listy? – zapytała ponownie.

– Do mamy! – wrzasnął chór.

– Tak. Do mamy – potwierdziła kobieta, kiwając przy tym potakująco głową. – A teraz pójdziemy... – urwała i przez chwilę przypatrywała się dzieciom. – Na pocztę, żeby je wysłać – w jej głosie słychać było z trudem tłumiony zachwyt.

– Ja nie mam mamy – wyszeptał i podniósł głowę, patrząc na nauczycielkę.

Stał sam, z tyłu za grupą. Udała, że go nie słyszy. Psuł jej tak dobrze przygotowany scenariusz zajęć. Skupiła się na pozostałych uczniach, przed którymi otworzyła drzwi poczty. Przepychając się i śmiejąc głośno, dzieci wbiegły do środka. Każde trzymało w ręce mokry od potu, wymięty list.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi poczty, chłopiec oznajmił cichutko:

– Ale ja też napisałem list.

Usłyszały go tylko gołębie, które z furkotem uniosły się wysoko. Podniósł głowę, wpatrując się w błękit nieba. Długo. Dopóki nie znikły.

## PTYSIE

Nie była tu pięć lat. Nie mogła. A dom czekał. Piękny, drewniany, nad samym morzem. Za nim roztaczał się sosnowy las.

Wciągnęła banderę na maszt. Zawsze tak robili po przyjeździe. Mały żółty kawałek materiału z krewetką w błękitnym kole załopotał na wietrze. Oboje uwielbiali owoce morza.

Weszła do kuchni i umyła ręce. Idąc do salonu, spojrzała w owalne lustro wiszące w korytarzu. Kobieta z taflī próbowała się do niej uśmiechnąć.

W salonie popatrzyła na żyrandol. Kupili go razem, bardzo się przy tym śmiali. Minęła zrobiony przez niego stolik – z pnia drzewa, przykryty szybą – i przez wąskie wysokie drzwi wyszła na werandę. Przed nią rozciągało się morze. Powietrze było gorące, głęboko wciągnęła zapach wody.

- Pójdiesz po ptysie? – usłyszała, jak zapytał.
- Oczywiście. Będą do szampana na kolację.
- Uważaj na schodkach – dodał.

Poczuła letni, miękki piasek. Była boso. Fale obmywały jej stopy. Woda łaskotała. Srebrzysta, biała od piany. Uwielbiała siedzieć na piasku i patrzeć, jak on pływa. Idąc brzegiem, zapatrzona w dal nagle poczuła pod stopą coś miękkiego i śliskiego jak galareta. „Meduza” – pomyślała.

Odwróciła się w stronę domu. Miała wrażenie, że odbija się w zwierciadle wody. Ptak wleciał do środka przez otwarte drzwi werandy. Ruszyła dalej. Wiatr rozwiewał jej długie jasne włosy, uderzając ją nimi od czasu do czasu w twarz. Dostał się też pod białą sukienkę, która przypominała teraz beżę. Słońce paliło skórę.

– Piękny statek. Podróżowała pani kiedyś takim? – pytanie wyrwało ją z zamyślenia.

Dziewczynka, może dwunastoletnia, w szortach i białej bluzce, wpatrywała się w nią błękitnymi oczami, czekając na odpowiedź. Najpierw spojrzała na statek, a potem znów na małą.

– Tak. Pływałam po Europie z ojcem. Był stewardem na wielu statkach. Zwiedził cały świat.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Dalej poszły razem.

- Dokąd pani idzie? – dopytywała.
- Do cukierni. Po ciastka.
- Mogę iść z panią?
- Będzie mi bardzo miło.

Szły dalej obok siebie, milcząc. Nagle dziewczynka rozłożyła ręce i zaczęła się kręcić w koło. Długie czarne włosy wirowały wokół jej głowy. Złapała kobietę za rękę i pociągnęła za sobą. Skakały przez fale, głośno się śmiejąc. Jej córka byłaby w wieku tej dziewczynki. Chciałaby, żeby taka była. Radosna. Byłaby, gdyby nie ten wypadek. Powinni pojechać samochodem. Wybrali rowery. Ten mężczyzna, ten kierowca autobusu, który przeżył. Pamiętała go. Płakał i przepraszał.

– Wie pani, nad morzem najbardziej uwielbiam to wrażenie płynności, jakby między jodeitową wodą a mną nic nie było, żadnej granicy – powiedziała dziewczynka, nie patrząc na nią.

W miasteczku przeszły przez rynek. Mewy porywały resztki pozostawione po handlowym dniu. Ptaki były ogromne i bezczelne, ich żółte dzioby z czerwoną kropką budziły respekt.

Drzwi cukierni cicho się otworzyły, jakby na nie czekały. Za ladą stała niska, okrągłutka kobieta w białym fartuchu.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Na przeszklonej wystawie pyszniły się przeróżne ciasta i ciastka.

– Które lubisz? – zapytała dziewczynkę.

– Uwielbiam małe ptysie.

– Ja też. Ale najbardziej lubię te wypełnione serkiem mascarpone z bitą śmietaną i kawałkami truskawek.

– Mogą być – powiedziała dziewczynka i roześmiała się. – Nie lubię tych z nadzieniem czekoladowym – dodała po namyśle.

– Ja też za nimi nie przepadam. Poprosimy trzydzieści małych ptysiów z truskawkami. Proszę zapakować w pudełko.

– Czy mogłabym napić się wody? – zapytała dziewczynka kobietę.

Po chwili piła. Obie ze sprzedawczynią patrzyły na dziecko. Szklanka z wodą błyszczała w jej ręce jak lustro, skupiając światło.

– Dziękuję – powiedziała dziewczynka i uśmiechnęła się. Była taka pogodna.

Kobieta wyjęła z portfela banknot. Sprzedawczyni obsłużyła kasę fiskalną. Podała im pudełko. Dziewczynka wyciągnęła po nie ręce.

– Poniosę – powiedziała.

Były już przy drzwiach, gdy ekspedientka stwierdziła:

– Dawno pani u nas nie było.

– Tak. To prawda.

– Dobrze, że pani wróciła po tym wszystkim. Cieszymy się. Tak trzeba



– dodała zamyślona.

– Tak. Miło mi. Będziemy po ciastka przychodzić częściej – zapewniła sprzedawczynię.

– Pani mąż tak je lubił. Szkoda człowieka. To był taki porządny, mądry, dobry mężczyzna. Ze świecą szukać.

Ale kobieta już tego nie słyszała. Wybiegła ze sklepu. Nabrała głęboko powietrza i zapytała dziewczynkę:

– Przyjdiesz dziś do mnie na kolację? O dziewiętnastej. Będą pyszne ptysie. Mieszkam...

– Wiem, gdzie pani mieszka. Przyjdę z przyjemnością – roześmiała się dziewczynka. – I włożę moją nową ciemnoczerwoną sukienkę.

– Cieszę się. Będę czekać.

– Może jutro rano pobieramy bursztyny i muszelki, potem pójdziemy do latarni, poczytamy, wykąpiemy się – zaproponowała odważnie dziewczynka.

– Ale program, prawie jak ten: *Będziemy chodzić na długie spacery. Opowiesz mi o wszystkim. Potem będziemy wracali do domu i siadali w twoich wygodnych fotelach, to lekkie znużenie wyjątkowe o zmierzchu i minie rok cały, zanim podadzą kolację.*

– Kto to powiedział?

– Napisała to księżna Malborough do Bernarda Berensona.

– Zgadza się – odpowiedziała krótko dziewczynka, podając jej pułdło z ptysiami. – Do zobaczenia wieczorem... i dziękuję za zaproszenie – dodała.

Kobieta poszła plażą w kierunku domu. Nagle, jakby sobie o czymś przypomniała, odwróciła się, by pomachać nowej znajomej na pożegnanie. Ale dziewczynki już nie było. *Najprzyjemniejsze są puste plaże pomiedzy słowami.* Kto to powiedział?

Gdy weszła do salonu, przez werandę zawołała głośno:

– Kochanie, dziś wieczorem na kolacji będziemy mieć wyjątkowego gościa! Przyniosłam twoje ulubione ptysie!

## WEEKEND ZA MIASTEM

Wieczór był bardzo gorący.

– Zapraszamy panią do naszego letniego domu – oświadczyła niespodziewanie starsza pani.

– Będzie nam bardzo miło – dodał jej mąż.

Był w dobrym nastroju, oczy w uśmiechu błysnęły za okularami. Mężczyzna z klasą, tak się kiedyś mówiło. Serce zabiło mi mocniej. Gapiłam się na nich w osłupieniu. Dopiero się poznaliśmy, na tej imprezie. Byli krewnymi gospodyniami przyjęcia, której też nie znałam. Spędzałam tu wieczór jako koleżanka jej syna. Pomieszczenie było piękne, miało taras i wykusz z kanapą oraz wspinały widok na okoliczne wzgórza. Siedzieliśmy obok siebie, a starszy pan stał, popijając szampana z wysmukłego kieliszka.

– Bardzo chętnie przyjadę. Dziękuję za zaproszenie – wykszusiłam.

Rozmowy trwały długo w noc. Starsi państwo byli uroczymi gawędziarzami. Kryształowy żyrandol świecił nad naszymi głowami. Biało odziany kelner zatrzymał się przy nas z tacą pełną przysmaków.

Przy rozstaniu dostałam adres ich letniej posiadłości.

W sobotę rano posuwałam się ze sznurem aut, by po kilku godzinach dojechać na miejsce. Wiozłam ze sobą dla moich gospodarzy piękną, ręcznie wykonaną przez moją koleżankę plastyczkę narzutę, sadzonki lawendy oraz budkę dla ptaków.

Przywitali mnie jak dawno niewidzianego gościa. W olchach śpiewały słowiki. W sadzie jeszcze kwitły jabłonie. Nad polami latały skowronki.

Dni płynęły ospale. Po wyśmienitym śniadaniu chodziliśmy na spacer. Las wczesną wiosną jest naprawdę piękny. Wracaliśmy do ciepłych wnętrz ogrzanych przez brzuchate piece.

Mój gospodarz wysuwał nam krzesła i podawał serwetki serdecznym gestem. Po chwili na stole pojawiał się pachnący dzieciństwem rosół – mrugał do nas złotym okiem i zielenił się pietruszką. Z gałką muszkato-

łową i maggi był wyśmienity.

Gospodyni, w eleganckiej niebieskiej sukni, opowiadała dowcipnie o okolicznym sąsiedztwie.

– Trzeba naprawić dach. Uważajcie, bo spadają dachówki – ostrzegął starszy pan.

– Zadzwoń po pana Kazimierza – poleciała żona.

– Już to zrobiłem, kochanie. Na jutro proponuję wyprawę nad jezioro.

Uwielbiałam patrzeć, jak marszczy się woda na jeziorze, i słuchać, jak żurawie skrzeczą.

Następnego dnia po całodziennej wycieczce, ubrani w ciepłe swetry, płynęliśmy łodzią do ich znajomych na kolację.

Zapadał wieczór, stół białł, drzewa traciły kontury. Sowa przecięła zmierzchające niebo, trzymając coś w szponach.

Szliśmy przez ogród oświetlony przez ukryte w liściach lampy. Na bzach były już małe pączki. Zaraz zakwitną.

Usłyszałam, jak ktoś upuścił widelec.

## ADIEU

Pożegnała się już ze wszystkimi poza nim. Siedziała pod sosnami, patrząc w dal. Smakowała chwilę. Wciągnęła w nozdrza zapach muszli, wilgoci i soli przesycony jodem. Krzyki mew niosły się daleko.

Nabrała piasku w dłoń i przesypała go między palcami na jego rękę.

– Przyniosę lody – powiedział.

Śledziła go wzrokiem przez chwilę, dopóki nie zniknął. Potem podniosła się i szybko pobiegła w kierunku przystanku. Właśnie nadjeżdżała piątka.

Cały czas pod powiekami miała morze. Cały bezmiar.

Nie lubiła pożegnań.

Wyobraziła go sobie tam z lodami spływającymi mu po palcach.

## WODA

– *Ciao, bella!* – krzyknął do niej jeden z gondolierów.

Uśmiechnęła się do niego w odpowiedzi. Siedziała po turecku na nabrzeżu. Patrzyła na ochrę pałaców i splukany błękit wody. Czuła nadmiar gorąca i piękna. *Traghetto* sznurowało brzegi Canale Grande, podczas gdy *vaporetto* rozplątało mu brzuch, płynąc wzdłuż.

Przemierzała uliczki, mostki i tajemnicze zaułki. Niekiedy *calle* prowadziła ją do placyku, innym razem do załamania kanału. Wdychała zapach morskiego powietrza i bielizny schnącej na tarasach lub na sznurze rozciągniętym od okna do okna. Siedząc na ciepłych płaskich kamiennych stopniach, słuchała Bacha i jadła cytrynowe *gelato*.

Na Campo Santa Margherita usiadła na czerwonej ławce. W czarnych spodniach i czarnym T-shircie z dużym dekoltem, jasnymi włosami związanymi w koński ogon i balerinkami na stopach zwracała uwagę. Była punktem czerni na czerwonym tle.

– *Buon giorno!*

– *Buon giorno, signore!* – odpowiedziała starszemu panu, popijając wodę mineralną.

\*

Upał nie ustępował. Poszła obejrzeć teatr marionetek. Ostatnio oglądała takie przedstawienie w Paryżu. Śmiała się razem z dziećmi.

Idąc, dotykała ścian budynków, ich chropowatej powierzchni. Wiedziała, że do renowacji można używać wyłącznie porowatego stiuku, ponieważ inne materiały pod wpływem wiatru i wilgoci szybko niszczejają i odpadają, stanowiąc zagrożenie dla przechodniów.

Lubiła słynną Caffé Florian, ale teraz wybrała Caffé Lavena, by wypić espresso. Szukała Wenecji Casanovy, Tintoretta, Belliniego, Tiepola, Vivaldiego, a znalazła siebie. Miała tylko długi weekend. Na decyzję. Na ży-

cie. Nienawidziła nocy, nie potrafiła zasnąć, potrzebowała czasu. Musiała uporządkować swoje doznania, przegonić cienie.

Poprzedniego wieczoru Paolo zabrał ją na spektakl komedii *dell'arte* pod Pałacem Dożów. Miłość i zdrada.

Postanowiła przed powrotem wejść na taras letni w Londra Palace, by napić się schłodzonego prosecco, zamykając pod powiekami widok San Giorgio Maggiore po drugiej stronie kanału. Tu Czajkowski skomponował IV symfonię.

Paolo miał sześćdziesiąt lat i wyglądał jak Hemingway. Był przyjacielem ojca jej koleżanki z liceum, która wyszła za Włocha. Mieszkała w Rzymie.

Paolo prowadził księgarnię nad kanałem. Uwielbiał piłkę nożną, sztukę i kuchnię włoską. Malował obrazy. Miał duże mieszkanie nad księgarnią. Oczyszczył jeden z zagraconych pokoi, który teraz należał do niej.

– *Come stai?*

Pomógł jej przycumować łódź.

– *Molto bene, grazie* – odpowiedziała z uśmiechem. – Jestem głodna. Co dziś przygotowałeś?

– *Brodo di pesce.*

Nie jadła jeszcze tej klasycznej weneckiej zupy rybnej. Serdecznie go objęła i weszli do środka.

Woda pluskała rytmicznie. Echo niosło odgłosy.

\*

Następnego dnia po śniadaniu i cappuccino wypłynęli na piknik łodzią wyładowaną po brzegi prowiantem, sprzętem wędkarskim, książkami, sztalugami oraz wszystkim, co jeszcze mogło się przydać.

Tworzyła własne studium wody. Melancholia i nostalgia przyczaiły się. Pozostał czas, gnicie i miraż. Obudziły się jej ukryte myśli. Powietrze było tak gorące, że stało się murem.

Paolo roztałcał swoje wizje unicestwienia. Jego księgarnia ze starości miała się po prostu zapaść w wodę.

Pytał, czy wracając nocą dwa dni temu, spotkała na Rialto starą siwo-włosą signorę, podpierającą się laską i trzymającą na ręku syjamskiego kota. Twierdził, że już jego prababka ją tam widziała. Wszędzie trzeba się rozglądać – dodał i roześmiali się razem.

\*

Woda pluskała o brzegi miasta. Odbijała tylko ścianę naprzeciw. Przez wieki. Narcystyczne miasto pisane na wodzie.

Windą wjechała na Kampanilę. Nie widziała stąd kanałów. Rozległy widok na Wenecję i lagunę zapierał dech. Pomyślała o kocie dozorczy, je-dynej ofierze upadku wieży w 1902 roku. Zawsze o nim myślała.

Pożegnała się z Paolo. Zatonęła w jego niedźwiedzim uścisku.

– *Arrivederci, bella.*

– *Arrivederci, Paolo.*

– Musisz wrócić, zanim *nebbia* zatrze wszystkie odbicia. Twoje też.

– *Nebbia* jest gęsta, oślepiająca i nieruchoma. Można nie znaleźć drogi powrotnej – odpowiedziała cicho.

Weszła w krąg lamp. Nie miała już czasu. Stała na moście Accademia i oparła się łokciami o balustradę. Spojrzała w stronę połyskującego lustra wody i pomyślała:

„Wróć, by wyłowić odbicia wspomnień”

## WIZYTA

– *Leben Sie in Gdańsk?* (Mieszka pan w Gdańsku?).

Pytanie wybiło go z zamyślenia, w którym pograżył się, patrząc z Ołowianki na Wyspę Spichrzów. Przed oczami miał stojące tam ruiny budynków, zarośnięte trawą i zielskiem ściany, z których puste otwory okien

wydawały niemy krzyk. Wzbijał się w powietrze. Wibrował. On go słyszał.

Patrzył przez chwilę na Niemca. Stary człowiek w okularach w srebrnych oprawkach. Wyblakłe niebieskie oczy czekały na jego odpowiedź.

– *Ja, ich lebe hier* – potwierdził.

Niemiec wyciągnął rękę przed siebie, wskazując Wyspę Spichrzów z ruinami i oskarżycielsko zapytał:

– *Warum tut ihr nichts damit?* (Czemu nic z tym nie robicie?). *Der Krieg war schon so lange her.* (Wojna była tak dawno temu).

– Żeby pamiętać – odpowiedział krótko. – Odwrotnie niż wy – dodał po chwili.

Niemiec spojrzał na niego zaskoczony, przeprosił i odszedł. Byli w przybliżeniu w tym samym wieku – przed emeryturą. Patrzył za nim przez chwilę. Widział, jak dobiegł do niego młody człowiek. Może wnuk?

Dlaczego to zdarzenie mu się teraz przypomniało, gdy z uczniami jechał do obozu koncentracyjnego w Stutthofie? Jak co roku. Był zmęczony. Uczył historii od tylu lat...

Wysypali się z autokaru. Minęli willę komendanta obozu i stanęli przed idyllicznym wejściem. Oślepiający upał. Przed budynkiem komendatury zielono. Tylko stawku i łabędzi brak. Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady. Czuł zapadające milczenie grupy. Tutaj kupicie pocztówki! Tutaj zdjęcia i plakaty! W budynku komendatury czekają przewodnicy, będzie zwiedzanie i warsztaty edukacyjne. Świetne zresztą.

Wyszli. Zaraz przejdą przez bramy śmierci. Nie poszedł z nimi. Siedział sam przy stole w wielkiej sali komendatury. *Reichsführer* SS Heinrich Himmler zajmował miejsce u szczytu tego samego długiego stołu, pod swastyką. Wizytował obóz. Nie był zadowolony. Kwestionował skuteczność systemu masowego uśmiercania więźniów. Za mało. Za wolno. Niedokładnie. Był pedantem. Suta kolacja. Podano kaczkę. Nie pił ze względu na żołądek. Dbał o zdrowie.

Stary nauczyciel wyszedł z budynku. Stał na tarasie, patrząc na grupę turystów wchodzącą na teren obozu – rozgadaną, kolorową. Na końcu

szła wolno młoda kobieta. Szczupła, blond włosy do ramion. Ubrana na czarno. Duże przyciemnione okulary od słońca.

Poszedł za nią, sam nie wiedząc dlaczego. Ze słońca weszli w mrok izb. Zbiór rzeczy, imion, zapachów, zdarzeń, historii unicestwiania indywidualnej i zbiorowej. Dotknęła drewna ścian. Oglądała dokładnie, potem podnosiła głowę i patrzyła przed siebie, jakby chciała to w sobie zapisać.

Doszli do pieców krematoryjnych. Jakaś para robiła sobie przy nich zdjęcie komórką. Wyszedł. Ona została. Tak jak zawsze, przy komorze gazowej wziął głęboki oddech.

– *Verzeihung, können Sie mir helfen?* (Przepraszam, czy może mi pan pomóc?). *Kann man hier irgendwo sitzen?* (Można tu gdzieś usiąść?).

Odwrócił się gwałtownie, słońce błysnęło mu w szklach okularów.

– *Ist Ihnen übel?* (Źle się pani czuje?).

Wyjął małą butelkę wody mineralnej i jej podał. Patrzył, gdy piła zachłannie, a woda spływała jej po brodzie.

– *Danke* – powiedziała, oddając mu butelkę.

Wziął ją pod ramię i poprowadził do wyjścia. Nie protestowała. Milczeli. Usiedli na ławce pod lasem, przed wejściem do obozu. Przerzucił płaszcz przez oparcie. Słyszał tylko śpiew ptaków.

– Rodzice zawsze chcieli tu przyjechać. Ojciec i brat zginęli w Paryżu w zamachu w teatrze Bataclan. Byli zakładnikami. Mama jechała do mnie i w pociągu została zaatakowana nożem. Napastnik krzyczał: Allah Akbar!

– Po chwili dodała: – Nie wiem, po co to panu mówię.

– *Das tut mir sehr leid* – powiedział i delikatnie uściśnął jej szczupłą dłoń.

Patrzył, jak zdejmuje swoje piękne włosy. Była łysa. Spod okularów spływała jedna łza.

Musiał wracać, uczniowie czekali. Podniósł się, pożegnał i odszedł.

– Dobrze, że był pan tu – usłyszał jeszcze.

Nie odwrócił się.





MARCIN CZERNIAWSKI

## Jan Stupor

Na szklanych drzwiach wisi klepsydra. *Jan Stupor... 42 lata... kawaler... z głębokim żalem... pogrzeb 1 czerwca w... pogrążona w smutku...* Jestem lekko wstawiony. Patrzę tępo w rozmazujące się litery i nie wierzę własnym oczom. Stupor się skończył, Janka już nie ma. Stupor kopnął w kalendarz, a na kartce z datą 29.05 widnieje jeszcze wgniecenie i czarny ślad ciężkiego buciora. Jest zawiesiście ciemno, noc przecież dopiero co rozłożyła swoje zniekształcone i suche skrzydła. Wieje subtelny, cichy wiatr morski. Jego eteryczne, ale zdradliwe prądy zawiodły mnie pod te cholerne drzwi oświetlone syntetycznym światłem elektrycznej latarni. Szok! Najpierw zrobiło się chłodno, chwilę potem parno, teraz jest kostycznie. Stoję osłupiały i wpatruję się z zapamiętaniem w krzyczące litery, nie rejestrując słów w całości. Czegoś brakuje albo wszystko się rozjeżdża. Poszczególne zdania rozkładają sens na czynniki pierwsze, a podstawowe elementy w rozproszeniu tworzą tylko nieznośny kocioł znaków, galimatias bez znaczenia. Paraliż, zastój; kotłowanina, chaos. Po dłuższej chwili zawieszenia coś w końcu dociera. Kto pogrążony? Jaki pogrzeb? Kto się żali? Co za spiętrzenie gęstego absurdu w tę noc zbyt duszną! Stoję, patrzę, nie wierzę i... myślę o uciętym życiu Jana Stupora.

Czterdziestoletni J. S. jest człowiekiem samotnym od około dwunastu

lat, bezdomnym od około roku. Od około pięciu lat nikt, kto go zna, nie wie o tym, że posiadał kiedyś liczną rodzinę, a bliższa i dalsza rodzina nie ma o nim żadnych wieści od około siedmiu. Dokładnie za dwa lata, dwa miesiące i siedem dni J. S. wpadnie pod rozpędzony tramwaj linii numer 12. Siła uderzeniowa w momencie kontaktu czoła tramwaju z ciałem S. będzie tak wielka, że jego postawna bądź co bądź postać przeleci na drugą stronę torów, robiąc wcześniej w powietrzu obrót wokół własnej osi, w następstwie czego jadący z naprzeciwka tramwaj linii numer 6 zatrzyma się z jazgotliwym zgrzytem tuż przed pogruchotanym i martwym już ciałem, po czym nastąpi bardzo krótka, znamienna chwila ciszy. Potem się zacznie: biegania, histeria, zaaferowanie, wreszcie czarny worek foliowy. Nie będzie przy nim żadnych dokumentów, patomorfolog przy sekcji zwłok orzeknie, że był całkowicie trzeźwy, identyfikacji ciała dokona inny bezdomny, być może przyjaciel S., choć to wątpliwe: ksywa Cesarz, imię i nazwisko dawno zapomniane i wymazane z wszelkich rejestrów.

Teraz, gdy J. S. mamrocze gardłowo w osiedlowym śmietniku, gdy mówi do siebie, niespokojnie szukając jedzenia albo po prostu próbując przetrwać noc, nie ma świadomości, nie przypuszcza, nie przeczuwa nawet, w jaki sposób skończy się to, co było przecież całym jego światem od chwili narodzin. Jest ciemno i zimno. Obok śmietnika ktoś przechodzi i słyszy nierzeczywisty, schizofreniczny, chrapliwy monolog. Zatrzymuje się na moment, po czym idzie dalej. Zaczyna wiać mocny wiatr marmarowy znad zatoki, za chwilę pewnie lunie deszcz. J. S. nie słyszy nic poza głosami w swojej głowie.

Na niewielkim drewnianym podeście przypominającym prowizoryczną scenę stoi wysoki, wychudzony mężczyzna z wylupiastymi oczami. Podest przystawiony jest do jednej z bocznych ścian osiedlowego bloku. Wchodzi się nań po trzech stopniach. Jest gorący dzień lipcowy. Atmosfera lokalnego pikniku na przestrzeni trzech kwadransów przekształca się w rewolucyjny wiec. Sprawcą zamieszania jest ten żywo gestykułujący

i krzyczący głośno patykowaty dziwak. Za kilka lat ów osobliwy ekscentryk w niewytlumaczalny sposób przytyje, choć wcześniej zawsze pamiętano go i widziano jako rachitycznego chudzielca. Zwą go Jan Stupor, i słusznie, bo to w rzeczy samej on sam w przededniu swoich trzydziestych piątych urodzin. Fakty zgodne z informacyjną zawartością dowodu osobistego, którego Stupor od dawna nie posiada. Jutro zapomni o własnych urodzinach, ponieważ niebawem się psychicznie spali, wykorzysta cały swój energetyczny napęd, który to właśnie dzisiaj pozwoli mu świętować swój prywatny odjazd. Odbywa się tu coś w rodzaju uroczystej i natchnionej przemowy.

Wokół „sceny” zebrało się kilkunastu osiedlowych wariatów i outside-ów. Na pierwszym planie słynny lokalny anarchista Kłopotkin, pięćdziesięciolatek z dredami i kolczykiem w nosie, ubrany we flanelową koszulę, spodnie z dziurami i trampki. Co chwila powtarza do stojącego obok niego Papryka Takiego:

– Bracie, ależ go wykurwiło z orbity.

Papryk Taki to dzielnicowy polityk, członek rady osiedla, redaktor osiedlowego radia i osiedlowy „stróż porządku”, którego poglądy można by scharakteryzować jako mieszaninę wschodniosłowiańskiego imperializmu i maoizmu z domieszką neosarmatyzmu. Jest to mały, pulchny człowieczek odziany w złachaną kasztanową marynarkę, stare, zniszczone spodnie dżinsowe i coś w rodzaju ewangelicznych sandałów. Na głowie ma czapkę wojskową z gwiazdą czerwoną na przedzie. Taki nic nie mówi, kiwa tylko od czasu do czasu głową, jakby nie dowierzał, jest wyraźnie zakłopotany.

Za nimi przystanąła Marysienka Eudajmon, teolożka, taoistka, trenerka publiczna. Katechetka w miejscowej szkole i feministka zarazem. Jest to kobieta w średnim wieku, ubrana cała na czarno (długa suknia, zamszowe buty), z fioletowo-różowymi pasemkami w ciemnych, lekko kręconych włosach. Patrzy z sympatią na Stupora, jak zresztą zawsze i w każdych okolicznościach.

Trochę na uboczu stoi kolorowy cyberpunk z tunelami w uszach, masą kolczyków w różnych częściach ciała i furą tatuaży. To dziewiętnastoletni maturzysta o pseudonimie Zbój, który niedługo wyjedzie najpierw z obszaru osiedla, potem z miasta, a na końcu z kraju. Stanie się to wówczas, gdy uświadomi sobie jasno, że umiłowana przez niego ojczyzna nie przeznaczyla mu od siebie ani grama miłości zwrotnej. Chłopak wpatruje się jak urzeczony w rozgrywającą się przed nim scenę, uśmiecha się i mruga do słońca wytatuowanym srebrnym okiem.

Są tu również i stoją nieopodal tradycyjni, tradycyjni, prawidłowi i prawowici żule osiedlowi, którzy palą tanie szlugi i piją ciepłe browary. Wyrwani z monotonii codziennej egzystencji wymieniają między sobą zaaferowane uwagi. Analizują sytuację i tłumaczą rozbrykanym dzieciom, które porzuciły trywialny plac zabaw dla niecodziennego wydarzenia, zawilości dziwnego spektaklu. Robią to niczym wytrawni, ale samozwańczy i niekonwencjonalni pedagogowie, od czasu do czasu wybuchając dzikim śmiechem i rzucając wiązkę kontrowersyjnych słów na wiatr.

Co chwilę przed zgromadzeniem przystają miejscowi emeryci. Mężczyźni zazwyczaj marszczą brwi i stękają, a kobiety zwiężają oczy i patrzą w osłupieniu na perorującego Stupora, jakby chciały go wzrokiem najpierw zgromić, a następnie spocielić.

Upał sięga zenitu. Żar lejący się z nieba spływa na „rozognione” auditorium, pot ciurkiem cieknie po twarzach i szyjach, powietrze faluje od piekielnego ciepła niczym lawa w wulkanie. Jan Stupor właśnie wchodzi na najwyższe obroty swojego szaleństwa, jakby chciał to wszystko nieznośnie spotęgować i doprowadzić nasyconą energią przestrzeń do wybuchu. Znad zatoki ukradkiem przybywa gorący wiatr morski. Nie orzeźwia, jest jak buchnięcie w twarz otwartego pieca. Ma się wrażenie, że zaraz wszystko zajmie się ogniem, wystarczy tylko kropla benzyny. Stupor krzyczy i macha rękami, jakby chciał powiedzieć: „to ja jestem tą kroplą, kroplą słodczy, która przechyla czarę goryczy. Użyjcie mnie!”

Fragment przemówienia Jana Stupora:

*Bracia i siostry, patrzcie, do czego doprowadziliśmy, grzesząc biernością! Wydarzyło się coś niedobrego z naszym kodem! Nie udawajcie, że nie czujecie tych przykrych wibracji! Zwiastujący katastrofę nachalny i uporczywy puls kosmosu, który wpadł w pułapkę permanentnego tripu! Leżymy na łopatkach, a nad naszymi bezwolnymi ciałami ogrom drobin z betonu, szkła i porzewiałego złomu złączonych w hybrydę, która nas zamieni w Nieruchomych! Zostaniemy następnie zmieceni z powierzchni ziemi przez ciche pierdnięcie Technokratycznego Demiurga, który zstąpi do nas pod postacią komara. Jeden komar w zupełności wystarczy, by unicestwić nasze anemiczne mózgi! Gra toczy się o wszystkie materialne dusze, które w procesie Wielkiego Ugniatania Charakterów zamienią się w kamienie, a potem zostaną pokruszone na maleńkie, drobniejsze od ziaren piasku cząsteczki. Tym okruszkom przeznaczona jest li tylko zapomnienie. Wyrwijmy się tym faszystowskim tendencjom i stwórzmy...*

Zbiór zielonych gniazd, w których mieszkają niebieskie ptaki. Wieczorami, zaraz po zmroku, owalne balkony emanują ciepłym światłem elektrycznym. Świecą się wtedy wszystkie gniazda oprócz jednego. To osobne zapala się dużo później, zazwyczaj po północy. Wówczas odcina się ono swoją ostrą i tajemniczą jasnością od zaciemnionego betonowego budynku o siermiężnej konstrukcji, który zamarł w nocnej ciszy. Tym razem jest podobnie. Światła w innych oknach już dawno pogasły. Ciężki i mocny sen opanował gniazdowe terytorium. Ptaki śnią o niebieskich migdałach, czerwonej krwi albo o locie w jedną stronę, który kończy się wszechogarniającą bielą. Jest środek października, druga w nocy, dzień powszedni. Gęstość mroku napędziła dynamiczny jesienny wiatr morski, najeżony igłami zimnego deszczu. W światłach latarni krople wirują nieregularnie i opadają w sposób całkowicie nieprzewidywalny na szare od wilgoci chodniki. Za sprawą dzikiego pędu deszczowej wody tworzą się maleńkie wodospady, rwące rzeczulki i kałuże przypominające niewielkie, muliste bagna.

Jan Stupor siedzi w swojej samotni i nie zwraca uwagi na silne podmuchy wiatru, co chwila wstrząsające szybami w oknach. Nie zauważa wody spływającej ciurkiem po szybach. Jest niesamowicie skupiony. Poziom jego koncentracji właśnie przekracza normy dostępne przeciętnym zjadaczom chleba. Dzieje się to, jak zawsze o tej porze, wtedy, gdy pochłonięty jest bez reszty przeprowadzanymi gorączkowo obliczeniami. Trzydziestoletni Stupor mniej więcej od pół roku zajmuje się rozwiązywaniem jakiegoś bliżej niesprecyzowanego, ale w jego opinii doniosłego problemu matematycznego. Nikomu nie zdradza szczegółów przedsięwzięcia, a wykonywane skrupulatnie rachunki, które do dzisiejszej nocy zajmowały około tysiąca dwustu piętnastu stron A4 w kratkę, chowa skrętnie do niewielkiego sejfu tuż po skończonej pracy. Robi to poważnie około piątej rano. Sejf załatwił Stuporowi Papryk Taki. Zrobił to dobrze sobie znanymi ćwierćlegalnymi metodami i szemranymi kanałami wolnego obiegu. Można powiedzieć, że został uproszony wcześniej przez Jana, który nie dawał mu spokoju, nagabując go przy każdej możliwej okazji, przez co najmniej dwa miesiące.

Taki, mieszkający vis-à-vis Stupora, był zresztą najbardziej ze wszystkich mieszkańców „Gniazdowiska” zainteresowany enigmatycznym zadaniem młodego matematyka. Może z racji tego zamieszkania z sejfem, a może z powodu charakterystycznej dla niego wścibskości sąsiedzkiej, którą umiał oblec w rodzaj maski zainteresowanego i życzliwego przyjaciela. Ilekroć jednak pytał Jana Stupora, czym on się tak naprawdę zajmuje, ilekroć próbował zagaić go o szczegóły mozolnej pracy umysłowej, której Stupor oddawał się z obsesyjną pieczołowitością, ten w odpowiedzi posyłał mu tylko szelmowski lub nieśmiały uśmiech (w zależności od nastroju) i za każdym razem odpowiadał coś innego, ale w podobnym stylu. I można być niemal pewnym, że nie miało to wiele wspólnego z prawdą, gdy Stupor mówił na przykład, że jest w przededniu wielkiego przełomu naukowego, a mianowicie, że zbliża się do rozwiązania dziewiętnastowiecznej zagadki parapsychologiczno-matematycznej, zwanej

Wielkim Teorematem Katatonicznym.

Jest trzecia w nocy. Kawalerka Jana Stupora tonie w prawdziwej papierowej powodzi. Kartki z chaotycznymi i gęstymi od skreśleń zapiskami gorączkowych obliczeń walają się po całym gnieździe; zajmują niemal całą powierzchnię podłogi, leżą na niewielkim stole kuchennym, na dwóch taboretach, na starym, wysłużonym fotelu, na parapecie, blacie kuchennym, na pralce, w wannie, wystają z różnych dziwnych miejsc, jak na przykład schowek na szczotki, albo wyłażą spomiędzy książek leżących na półkach regału.

Gdzieś wewnątrz tego papierowego imperium znajduje się Jan Stupor. Siedzi mocno przygarbiony, skupiony i nieobecny jednocześnie, pracujący cicho i wytrwale. Powoli kończą mu się kartki, których spory zapas dostał przed tygodniem od mieszkającego dwa piętra wyżej Kłopotkina, redaktora kwartalnika „Anarchistyczny Atlas Ornitologiczny”. Nic nie jest w stanie rozproszyć szalonego matematyka. Stupor nie słyszy odgłosu spuszczonej właśnie wody w toalecie w gnieździe znajdującym się piętro niżej, tego tuż pod jego kawalerką. To mieszkanie Marysieńki Eudajmon, która wstaje za potrzebą codziennie mniej więcej o tej samej godzinie. Stupora zawsze trochę to wytrącało z równowagi, wybijało z rytmu i można powiedzieć, że od pewnego czasu niemal czekał na ten powtarzający się z pewną regularnością nocny motyw, a gdy ów się dokonywał, robił sobie krótką, dziesięciominutową przerwę.

Dziś jest inaczej. Stupor nie rejestruje, nie zauważa, nie pamięta. Jeszcze próbuje. Za mniej więcej godzinę i czterdzieści pięć minut uświadomi sobie, że poniósł fiasko. Cała jego praca kombinatoryczna, owoc ponadpółrocznych wysiłków, doprowadziła go donikąd. Rozwiązanie jest ponad jego możliwości, a uświadomi to sobie w jednej chwili tak jasno i dobitnie, że podejmie nieodwołalną decyzję o natychmiastowym zaprzestaniu kolejnych prób obliczeniowych. Jeszcze nie wie, co będzie robił w przyszłości. Będzie jednak w tej chwili porannej całkowicie spokojny.



Wielki szary budynek z początków XX wieku. Na jego słabo uszczelnione okna napiera styczniowa śnieżycą. Niewielkie płatki śniegu unoszone są przez potężne poddmuchy zimowego wiatru morskiego. Wokół szpitala psychiatrycznego, bo o nim mowa, żadnego ruchu. Można by rzec: zastój i grobowa cisza, gdyby nie świsty, gwizdy i pohukiwania huraganowej aury, która skutecznie wymiotła ludzką krzątaninę z pola widzenia. W jednym z najciemniejszych pomieszczeń leży bez ruchu dwudziestopięcioletni mężczyzna. Spoczywa na twardym łóżku, do którego przypięty jest pasami bezpieczeństwa. Pacjent śpi snem niespokojnym, ale mocnym. Nie dociera do niego nic z wielkiego łomotu śnieżnej wichury, która, wydawałoby się, pragnie wdrzeć się brutalnie do tej cichej izolatki przez jedyne, maleńkie i prostokątne okienko. Jest to świeżo upieczony absolwent Politechniki Gdańskiej Jan Stupor, który dokładnie przed dwoma tygodniami przeżył załamanie nerwowe. Przyczyna bezpośrednia tej zapaści psychicznej jest trudna do uchwycenia, ale mówi się głośno o pewnym incydencie z niedalekiej przeszłości, który miał jakoby przesądzić o przesileniu, o przekroczeniu pewnej granicy wytrzymałości na stres u od dawna już chwiejnego emocjonalnie Stupora.

Ów incydent można by opisać w dużym skrócie jako kłopoty natury sercowej, zaznaczając jednocześnie, że to tylko jedna z hipotez. Jan Stupor nie wytrzymał. Unikając zbędnego wdawania się w szczegóły, należy tylko wspomnieć, że zaczęło się od przeraźliwego, konwulsyjnego krzyku o piątej nad ranem w jednym z najmniejszych mieszkań osiedlowego bloku. Zbudził niemal wszystkich jego mieszkańców. Potem to wiadomo, wszystko potoczyło się szybko: interwencja medyczna, leki uspokajające, odjeżdżająca na sygnale karetka... i tak to się skończyło, zaczynając jednocześnie.

Światło w izolatce zapala się. Ukazują się porysowane i brudne jasnozielone ściany i wąskie łóżko pośrodku. Do pomieszczenia wchodzi trzy osoby. Są to: ordynator oddziału, sanitariusz i siostra oddziałowa. Stają przy łóżku, pochylają się nad nim badawczo i patrzą na przerażoną twarz

Jana Stupora, który wybudził się dosłownie przed piętnastoma minutami. Potem następuje krótka narada odbywająca się półszepem. Sanitariusz kiwa głową i szybko wychodzi z pomieszczenia. Ordynator przekazuje na ucho jakąś poufną informację siostrze oddziałowej. Siostra zgadza się pokornie, nie powinna mieć i nie ma najmniejszych zastrzeżeń. Decyzja o podwojeniu i tak już końskiej dawki substancji otumaniającej, która jest wstrzykiwana Stuporowi dożylnie, została właśnie podjęta.

Ordynator opuszcza izolatkę. Siostra podchodzi do aptecznego sejf-u, który znajduje się w rogu pomieszczenia, uruchamia specjalny kod, otwiera pancerne drzwiczki i wyciąga ze środka strzykawkę oraz niewielką ampulkę. Stupor cicho łka, próbuje bezskutecznie poruszać uziemionymi kończynami. Ma niewiele siły. Za chwilę znowu zapadnie mrok.

Mamy do czynienia z wielkim pogrzebem, na który zeszło się pół miasteczka. Mamy do czynienia z absurdalną i niewytłumaczalną śmiercią, z tragedią, której nie można w żaden sposób obłaskawić. Mamy do czynienia z brutalnie uciętym, zbyt młodym życiem. Dębowa trumna, a w niej ciało dziewiętnastoletniej dziewczyny. Dębowa trumna jest właśnie wprowadzana w prostokątne zagłębienie w ziemi. Dębowa trumna opada na powierzchnię dołu i jest obsypywana mokrym piachem. Stary ksiądz kropi wodą miejsce pochówku. Stary ksiądz ma zbolałą minę. Stary ksiądz mówi swoje, mówiąc głupoty. W ten sposób, będąc świadkami tych bolesnych i mglistych kadrów, najbliżsi żegnają Barbarę Stupor, która trzy dni temu została potrącona na przejściu dla pieszych przez rozjeżdżony do prędkości 110 kilometrów na godzinę samochód osobowy. Wśród zebranych wokół mogiły ludzi znajduje się brat ofiary wypadku, starszy o dokładnie rok i trzy miesiące Jan Stupor. Silna emocjonalna więź, jaka łączyła go z ukochaną siostrą, sprawia, że stoi teraz w cmentarnym błocie niemal sparaliżowany bólem, ale nie rozpacza. Jakaś trudna uchwytana, niepojmowalna siła, której sam się po sobie nie spodziewał, pozwala mu się trzymać w ryzach. Ta siła umożliwi mu jeszcze potem

odbicie się od tego koszmaru i pójście swoją drogą, niemniej jednak wewnętrznie Stupor zostanie przemieniony nie do poznania. Barbara była dla niego najważniejszą istotą na ziemi; powiernikiem, sojusznikiem i sprzymierzeńcem na dobre i złe. On z kolei przecież tak bardzo kochał tę swoją uroczą młodszą siostrzyczkę i zawsze opiekował się nią, ile starczało mu sił. Coś się nieodwołalnie skończyło i ten brak możliwości odwołania jest nie do przyjęcia.

Stupor długo stoi nad grobem, stoi, gdy wszyscy inni już poszli, stoi i już nie płacze. Powoli robi się ciemno. Gdzieś w oddali słychać samochodowy klakson. Zdziwiająco młody stróż cmentarny z okna swojej służbówki patrzy uważnie na młodego chłopaka stojącego nieruchomo obok kopca utworzonego z wiązanek pogrzebowych i kwiatów. Być może rodzi się w nim współczucie. Wieje ledwie słyszalny, rozproszony wiatr morski.



## Pod wspólnym niebem

Tego lata Urząd ds. Uchodźców dla Berlina Charlottenburga przeżywał oblężenie. Dyskretna ochrona policji i agentów wywiadu BND w żaden sposób nie mogła przywrócić komfortu psychicznego poirytowanym urzędnikom.

Odwołane urlopy, braki kadrowe, a przede wszystkim koniec słodkiego nieróbstwa na państwowym, ciepłym „kurwim dołku” boleśnie dały się we znaki każdemu z nich.

– Wiesz, Johann, ja to się czuję jak tabor Afrykanerów oblężony przez Zulusów.

– Co ty nie powiesz, miałem już z tuzin Zulusów, dwie stuletnie Afganki i z dwustu niby-Arabów nieznających arabskiego, no i kilku Syryjczyków.

– Oj, dzieciaki – wtrącił Paul. – Ja to pamiętam początek lat osiemdziesiątych i inwazję Polaków, ale wtedy nawet największe konserwatywne wygi z CDU/CSU piały na to z zachwytem.

No bo ta polska Solidarność, walka z komunizmem, Jan Paweł II i tak dalej. Mogli sobie wyczyścić na starość swoje sumienia z nazistowskiej przeszłości i poniekąd to im się udało.

– Chłopie, skończ z tą historią – wtrącił Stefan, zawstydzony swoją uwagą o Zulusach. – A ty, Johann, co tak przygasłeś?

Johann nie lubił takich tematów. Czuł się Niemcem i identyfikował się tylko i wyłącznie ze swoją ojczyzną. Pomimo prób nauki polskiego, podejmowanych ze strony matki, po polsku znał tylko parę przekleństw, w tym oczywiście legendarne „kurwa”. Rodzice opowiadali mu o tym, jak w 1978 roku przyjechali tutaj, do Berlina Zachodniego, z rodzinnego Gdańska. Właściwie oni sami, we dwojkę, w odwiedziny do rodziny taty. A że rodzina to było bezdzietne starsze wujostwo prowadzące biznes cukierniczy, więc start w nowej ojczyźnie wyglądał całkiem fajnie. Z nim, Johannem, wtedy Jankiem, to było trochę zachodu. Rodzice, żeby wyjechać na wycieczkę do RFN-u, musieli w Polsce zostawić zakładnika. Janek został z babcią, która na wieść o tym, że córka nie wraca, zapragnęła zwiedzić z wnukiem Jugosławię. Potem via Austria udało się przemyścić malca do Niemiec.

Wiedział, że najważniejsze to nie opowiadać tej historyjki ani w szkole, ani kumplom, ani tym bardziej nie przypominać jej samemu sobie. No bo i po co? Żeby go palcami wytykali, że on jakiś inny? Zresztą pamiętał, jak w szkole po zjednoczeniu pojawili się Osis.

Biedne dzieciaki z NRD, chyba największe ofiary zjednoczenia. Bardzo lubił im dokuczać. No ale wtedy był głupim czternastolatkiem. O ironio, pracuje tu, gdzie pracuje.

Zawdzięcza to koledze taty – pracownikowi berlińskiego ratusza, który nagrał mu ten etat. Siedzi tu już dziesięć lat i jak dotychczas było fajnie. Nie przepracowywał się, cieszył stabilnością i bezpieczeństwem zawodowym. Zresztą wiedział, że nie nadaje się do korporacji.

No ale Pani Kanclerz postanowiła zatruć mu życie i zaprosiła tutaj cały świat.

– Johann, pobudka! – z lekką ironią rzucił raz jeszcze Stefan. – Zaraz nam wpuszczą następną partię delikwentów.

– Oj, dobra, zamyśliłem się nad jedną teczką. Kolejny niby-Syryjczyk

z Afganistanu albo Pakistanu.

\*

Ahmed stał tu już kilka godzin. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Zresztą z kim?

Jest chyba jedynym Syryjczykiem w tym morzu ludzi. To jest jakiś absurd, pomyślał.

To ma być pomoc dla uchodźców wojennych z Syrii? W tej cholernej kolejce stoi chyba pół Afryki. Czy kogoś interesuje to, że przeżył horror? Że uciekł z uczelni tak, jak stał? Że nie wie, co się dzieje z jego rodziną, z matką, ojcem i siostrami? Właściwie czemu po niego przyszła bezpieka? Nie bawił się w politykę, choć to dla historyka zawsze jest pokusa.

Był zwyczajnym pracownikiem naukowym uniwersytetu w Damaszku i specjalistą od starożytności. A może to przez fakt, że dorabiał sobie przed wojną jako pilot wycieczek?

Znał dobrze polski i lubił Polaków, a w szczególności Polki.

Zamknął oczy. Aleppo – dwa tysiące piąty, może szósty rok. Grupa miała czas wolny, a on z pilotką Kasią siedzieli sobie w kafejce koło hotelu Carlton i gapili się na siebie i na Cytadelę. Wieczorem wtuleni w siebie...

Dobra, daj spokój! Wewnętrznie się zagotował. Zapomnij o tym! Nie ma już tamtego Aleppo, po Carltonie została kupa gruzów, a Cytadela to ser szwajcarski. Ale to nic. Był taki zakochany w Polsce i Polakach. Tacy cudowni ludzie, tacy inni od tych butnych Niemców czy Angoli. Panie Ahmedku, to i sramto... A potraktowali go jak śmiecia. Wspaniały naród, za wolność waszą i naszą. Dotarł po wielu tygodniach tułaczki do Polski, omijając węgierskie zasięki. Katarzyna na jego widok zatrzasnęła drzwi, jak przed obcym, a kilka przecznic dalej zwinęła go policja. Posiedział czterdzieści osiem godzin w jakimś komisariacie, gdzie oberwał w celi od jakichś łysoli. Jak go wypuścili, to podrzucili go pod niemiecką granicę,

że niby ją wcześniej nielegalnie przekroczył.

Dopiero tu, w Niemczech, zaopiekowano się nim. Nakarmiono, przebadano, zagwarantowano dach nad głową.

No dobra, pomyślał, postoi w tej kolejce, żeby dokończyć formalności. Zresztą co ma innego do roboty?

Nie możesz o nikim myśleć z nienawiścią, wewnętrznie przywołał się do porządku. Katarzyna to była kilkuletnia fascynacja erotyczna, konsumowana chętnie przez obie strony, na kolejnych wspólnych destynacjach.

Zastanawiał się dalej, skąd w Polakach tyle nienawiści do wszystkiego, co inne, obce? Znał ich historię i wiedział, ile wycierpieli jako naród.

Tutaj, w Niemczech, też odczuwał niechęć. Ale ukrytą i okazywaną ze wstydem. Mimo wszystko czuł jakieś śladowe współczucie. Jego problem istniał w przestrzeni społecznej.

Musi starać się tu żyć! Jakoś się zasymilować. Właściwie jest niewierzący, więc religia to nie problem. Może z czasem nie będzie obcy? Może?

Zresztą to nawet dobrze, że go z Polski przepędzono. Tam problem uchodźców przedstawiany jest jak najazd obcych, inwazja Marsjan. Tutaj chociaż podchodzą do tego jak do problemu humanitarnego. Problemu? Może lepiej klęski humanitarnej! Takiej samej, jaka w latach czterdziestych wydarzyła się w bogatym wówczas Damaszku. Najazd uchodźców wojennych z Polski. Obdarci, chorzy, podejmowani w domach, a nie przepędzani spod drzwi.

Był kiedyś z Kasią w polskiej ambasadzie w Damaszku, na jakiejś konferencji temu poświęconej. Ambasador dziękował narodowi syryjskiemu za pomoc w czasie II wojny światowej.

Stefan spojrział znużonym wzrokiem na kolejnego petenta. Ahmed wydał mu się nawet sympatycznym i inteligentnym nieszczęśnikiem. Załatwienie formalności poszło sprawnie: kwaterunek, ubezpieczenie, zapisy na kurs niemieckiego i skierowanie do urzędu pracy oraz kilka innych drobiazgów.

Nawet szarpnął się na jakiś uśmiech na koniec.



\*

Katarzyna jechała na terapię. Żaloszny widok byłego kochanka w drzwiach jej mieszkania kompletnie ją rozwalił. Od kilku tygodni ratowała się alkoholowymi wieczorami ze samą sobą i terapią. Musi wrócić do normy. Zresztą, co miała zrobić? Po 2011 roku większość arabskich destynacji się skończyła. Szybko przerzuciła się na Beneluks i Francję, ale to już nie jest tak dochodowe. Musi dorabiać korepetycjami z angielskiego. Ma kredyt na mieszkanie, na samochód i w zasadzie na wszystko. Miała się nim zaopiekować?

No, jeszcze czego? Musi być twarda! I już! Jest na dorobku, a w Polsce nikt z nikim się nie certoli!

\*

Stefan wiedział, że trochę jest rasistą. Wiedział, że nie może nim być. Że nie chce. Wiedział, z jakiej rodziny pochodzi, wiedział, co dawniej Niemcy robili niemalże wszystkim nie-Niemcom. Inny to wróg, no tak dawniej było. Nikt w tym kraju temu nie zaprzeczy.

Pracy nie zmieni, bo ją chyba lubi. Nawet nie chyba. A ten lęk przed innością?

Nie bądź głupi! – pomyślał. Kontynent, na którym żyjesz, to mozaika. I to chyba najbardziej zróżnicowana na świecie. To chyba fajne!

Paul podchodził do swojej pracy rutynowo. Do petentów zresztą też. Kiedyś miał pasję.

Lata osiemdziesiąte w Berlinie Zachodnim i zresztą w całym RFN-ie to były czasy uczyłowiczania wschodniego sąsiada. Polska stawiała się podmiotem, a nie okupantem ziem utraconych. Danzig stał się Gdańskiem, jak żartowano. Fascynacja polską walką z komunizmem w środowisku zawodowym i prywatnym Paula była powszechna. Bardzo się angażował

w pomoc humanitarną dla Polski. Uczestniczył w wysyłaniu paczek żywnościowych, a nawet jakichś nielegalnych urządzeń drukarskich.

Tym bardziej zszokowała go reakcja tego kraju na kryzys uchodźczy.

No ale niedługo emerytura. Zaszyje się gdzieś nad morzem i zacznie olewać problemy tego świata. Niektórzy zasługują na to, żeby ich olać.

Ot, co!

Johann był zszokowany swoim wewnętrznym odkryciem. Zaczął odczuwać wręcz sympatię do swoich petentów. No tak to wygląda! To nie jest najazd Hunów na Zachód. My, Niemcy! Tu, w Niemczech, w Szwecji, no i może gdzieś tam jeszcze nauczyliśmy się traktować istotę ludzką tak, jak trzeba! No, dobra, bo się wzruszysz tym odkryciem – pomyślał sobie.

Wracając do kolejnego petenta, zapomniał o kawie, którą postawił na szafce i która pewnie wystygnie.

\*

Ahmed uwielbiał lekcje niemieckiego. Szło mu świetnie. Miał zdolności językowe, a jego urok osobisty zainteresował nauczycielkę. Helga – do tychczas zdeklarowana singielka, pokazała mu świetną knajpę wegańską, uroki jogi, na którą zaczęli razem chodzić, i kilka sztuczek łóżkowych, o których, jak przyznał z pokorą, nic nie wiedział.

Obecnie szukają wspólnego mieszkania.

Zaproszono go również do Urzędu ds. Uchodźców dla Berlina Charlottenburga na rozmowę o pracę. Znajomość kilku języków obcych jest niezwykle cenna z punktu widzenia każdego pracodawcy.





# Spis treści

<b>KALINA ULINOWICZ</b> Pierwsze słowo	11
<b>URSZULA SIKORA</b> Najbardziej Szary Człowiek na Świecie	19
<b>MONIKA ROGO</b> Marzenia się spełniają	31
<b>ANNA PIENIAK</b> Dziewięć liter	36
<b>AGNIESZKA OWSICKA</b> Pamięć zapachu	42
<b>KORNEL MACHNIKOWSKI</b> Kawał o Jasiu	49
<b>ANNA KRAWIEC</b> To dobry sen	57
<b>MICHAŁ KOZŁOWSKI</b> Śmierć króla	68
<b>OLGA KOMOROWSKA</b> Skarpetka w paski	75
<b>KAROLINA KARNAS</b> Ten dzień	84
<b>OLA JAKUBOWSKA</b> Jesień	96
<b>EWA IDŹKOWSKA</b> Ukradkiem	100
<b>MARCIN CZERNIAWSKI</b> Jan Stupor	114
<b>RAFAŁ BUDZIAK</b> Pod wspólnym niebem	125